



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Kochanie (Wiersz). — Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama. — Pogadanki naukowe z dziedziny optyki i światła — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena, przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Natalja Borisowna Dolgorukowa powieść p. Furmanna. — Kilka nowszych niemieckich powieści, ze względu ich stosunku ze stanem społeczeństwa. — Od Redakcji.

Kochanie.

z Petöfiego.

I.

Oj kochanie! kochanie!
Istne Boże skaranie,
Jak się człek w nie potoczy
Urok mu pada na oczy.

Pasę trzódkę po błoni,
I nie słyszę choć dzwoni,
Choć zabłąka się w zboże
Nie spostrzegę mój Boże!

Mateczysko mi napchała
Chlebem torbę mą całą,
Jam ją zgubił na roli,
Mogę pościć do woli.

Ojcie! matko! od szkody
Nie obronie wam trzody,
Myślą przy méj dziewczynie
Ja sam nie wiem co czynię.

II.

Ej pasterzu — wiesz ty o tem?
Mam ja wielki wór ze złotem,
Chcesz, ja biedę kupię twoje,
Ty mi za to dasz dziewczynę.

„Choćbyś panie na zadatek,
Dał mi cały twój dostatek,
I świat dodał z łaski swojej,
Nie dostaniesz méj dziewczyni!

Seweryna Duchńska.

PRELEKCJE PUBLICZNE

FR. HENRYKA LEWESTAMA.

Prelekcja I.

(dnia 5 Grudnia 1869 roku.)

W zeszłorocznym szeregu moich odczytów miałem sposobność zatrzymać uwagę szan. słuchaczy na niektórych utworach arcy mistrzów poezji tragicznej, Shakespeare'a, Göthe'go, Schiller'a, Wiktora Hugo. Utwory, o których mówiłem, wybrałem nie dla tego jedynie, żebym w nich upatrywał jakoby najlepsze wspomnionych poetów, ile raczej dla tego, iżby na nich wykazać prawdziwość punktu wyjścia w całym moim poglądzie na ten rodzaj dramatycznej poezji, który, tak samo jak epika, przedstawia nam wprawdzie wypadki zewnętrzne, lecz ukazuje takowe w ciepłej i drgającej przed nami rzeczywistości, — który wyraża, jak liryka, uczucia i namiętności, ale sięga od niej wyżej, nierownie, bo podnosi nas bezpośrednio wrażeniem, przejmując nas rzewnością i grozą, przestachem, litością. Poeta tragiczny przebiega całą gamę wszystkich tych wzruszeń, jakie na widok rzeczywistych ludzkich czynności budzi w sercu los naszych bliźnich, — i dopiero pod koniec tej jego fikcji, skutkiem całości wrażenia, jakie się po niej ostaja, wzruszenia owe zlewają się w jedno uczucie harmonii i zadowolenia. W ogóle dramatyk tak blizkim jest życia, którego wierny przedstawia nam obraz, że spokój epickiego poety byłby u niego obojętnością, — stanowczo więc przechylić się winien ku jednemu z głównych punktów widzenia, z których zapatrywać się można na losy człowiecze, zmuszając zarazem swoich słuchaczy i widzów, by zarówno jak on, stanęli po jednej stronie lub drugiej.

Otóż obie te strony wyłączenie i czysto są ludzkie, a każdemu z nas z doświadczenia własnego znane są dwa owe duszy naszej kierunki: — poważna tragika i wesołość komiczna. Zgłębienie pierwiastków ich i całej istoty może stać się, i już nieraz bywało, przedmiotem ciekawych dociekań filozoficznych, — obie bowiem noszą one na sobie piętno ogólne naszej natury, lubo tragiczność odnosi się raczej do wrażeń umysłowych, komiczność do tych, jakie odbieramy przez zmysły. W samą rzecz jestestwom,

nie obdarzonym rozumem, oba te usposobienia najzupełniej są obce, — a jakkolwiek niekiedy możnaby mniemać, że i w zwierzętach przemaga poważny spogląd na życie, kiedy np. w swoich zajęciach zdają się chwilę obecną poświęcać przyszłości, — albo też, że przeważa usposobienie wesołe, kiedy w płochę igraszcę, bez zamiaru ni celu, oddają się tylko rozkoszemu poczniciu własnego istnienia, — przecież zaprzeczyć nie można, że jedynie świadomość doznawanych tych wrażeń prawdziwe i właściwe im nadaje znaczenie. Człowiek tylko, z pomiędzy wszystkich znanych nam stworzeń, owym obdarzony jest wzrokiem, który w przeszłość się zwraca i zatapia się w przyszłość — lubo, niestety! piękny ten przywilej opłaca on częstokroć zbyt drogo.

Z tem wszystkiem jednak tragedia, pomimo umysłowego pierwiastku swych podstaw, a raczej właśnie może dla tego ich źródła, mniejszej może wymaga znajomości serca ludzkiego, bo na oddanie działań ludzkiej boleści, uczuć, jakimi nas sąsiedztwo i widok śmierci przejmują, wystarcza zwykłe ożywiona poetycznie wyobraźnia, — bo charakterem tragicznym przedewszystkiem potrzebne jest owo subtelne podobieństwo do prawdy, która niekoniecznie bywa prawdą rzeczywistości, a skutkiem którego to podobieństwa fikcji do fikcji, delikatność własnych spostrzeżeń poety staje się poniekąd zbyteczną, — bo nakoniec, same już bohaterские postacie tragedii nakreślają mu drogę, której się trzymać powinien, by pozostać równie dalekim od przesady, jak również od trywialności. W komedji natomiast (jak to wyraził najtrafniej sam Moliere, największy komik epoki nowożytnej, kładąc w usta Dorante'a porównanie między dwoma temi rodzajami dramatycznymi), „w komedji, gdzie nie chodzi o przybranie się w draperie wielkich i szumnych sentymentów, o narzekania na losy i bogów, gdzie poeta wnikać musi w ludzkie śmieszności i wady, tam należy malować z natury, tam w portretach przedewszystkiem jasnieć powinno podobieństwo prawdziwe, tam autor nie uczynił, jeżeli od razu nie poznamy w jego figurach ludzi jego epoki. Rzecz to przytem wcale niełatwa — dodaje Moliere — umieć pobudzić do śmiechu ludzi poważnych.“

Bądź jak bądź, nie prawując się o większe lub mniejsze trudności obu form dramatycznych, o których to trudnościach napomknąłem tu jedynie dlatego, że zwykle o rzeczywistym ich między sobą stosunku panuje w publiczności całkiem inne pojęcie, — to jest pewna, że cele najwyższe i ostateczne tych form w każdym razie są jedne i wspólne. Ideał komiczny przedstawia najzupełniejszą tożsamość z idea-

tem *tragicznym*, a nie jest on, jak utrzymują niektórzy estetycy, „tragicznością odwrotną”, albo „odwrotnym ideałem”, ale samym ideałem tragicznym, z tą tylko różnicą, że ten ostatni wypowiada filozoficzną ideę świętości ludzkiego jestestwa, mającą nas pobudzić do życia, cnoty i prawdy, że wypowiada tę ideę w ogólnej, jakby teoretycznej czystości i na wszystkie wieki następne, — gdy tymczasem ideał komiczny odzwierciedla też samą myśl w bezpośredniej teraźniejszości, że ją nam uprzytomnia w wypadku podanym niejako przez chwilę bieżącą, z praktycznym stosowaniem do okoliczności, do polityki, do kwestii społecznych i w ogóle będących na dobie. Ideał komiczny, to ideał tragiczny olbrzymi, zwrócony do dzisiejszych dążeń i celów, do dzisiejszych spraw karli i marnych, — a ten właśnie zwrot do rzeczy z pozoru tak jemu nieodpowiednich, stanowi pierwszy wielki kontrast i dziwną sprzeczność, na których opiera się żywioł śmieszności.

Zastanówmy się chwilę nad tem, czém w ogóle, i czém mianowicie w komedii jest śmieszność? Sama nieodpowiedność środków odnośnie do celu, sama nieproporcjonalność między nadzieją a jej spełnieniem, samo rozczarowanie złudzeń w obec rzeczywistości, to wszystko tem bardziej nie jest jeszcze przez się śmiesznością, ile że też same kontrasta wywołują również *tragiczność*, jak skoro tylko owo złudzenie wychodzi na zgubę postaci w sprzeczność tę zaplątaną. Kontrast tragiczny między celem a środkiem wychodzi na grozę; pomyłka, błąd, zaślepienie rozwijają się stopniowo w ogólne i wspólne zniszczenie. Sprzeczność śmieszności natomiast wręcz jest tamtej przeciwną, — wielkość rozbudzonego zajęcia zostaje względem drobnosci wypadku w stosunku najzupełniej odwrotnym, — ogromne oczekiwanie kończy się na bańce mydlanej. To góra, rodząca myszkę, — śmieszna myszka, myszka śmieszności; — gdy tymczasem sprzeczność tragiczna przypomina poniekąd krokodyla, o którym powiada Plinius, że, gdy w młodości stosunkowo bywa najmniejszym ze wszystkich stworzeń świeżo wylęglých, wyrasta z wiekiem na największe i najstraszliwsze zwierzę drapieżne. Czy jednak idzie za tem, żeby skutkiem tego sprzecznego stosunku między katastrofą tragiczną a komiczną, w tej ostatniej sam także ideał tragiczny ukazywał się pod postacią odwrotną? Bynajmniej zaiste, — i — jak już powiedziałem — cele najwyższe i ostateczne obu form dramatycznych w każdym razie są jedne i wspólne. Różnią się one chyba jedynie środkami, drogami, jakimi dopiąć można wspólnej myśli celowej, lubo ta nawet różnica jest tylko pozorną. Bo samozłudzenia i odpowiednie im sytuacje, stopniują się, rosną stopniowo tu jak tam, w tragedii tak jak w komedii. Na czem-że tedy polega między nimi różnica? Dlaczego w jednej kontrasta owe działają tragicznie, a w drugiej komicznie? Wielki teoretyk poezji, Grek Arystoteles, twierdzi, że karą za przewinienie w komedii jest bezbolesne zawstyżenie przestępcy, — dodajmy do tego, że główną różnicę upatrywać należy w odrębnym bohaterze tragicznego czy komicznego stanowisku względem owych samozłudzeń i błędów, stanowiących cały węzeł dramatu. Samowola bohatera komedii jest prawdziwą swawolą: — umysł jego pogodny, krew lekka, usposobienie i temperament nadają się do wesołości i żartu. Ten dopiero kontrast *usposobienia* z pustotą sprawia efekt *śmieszności*, która wzajem wynika właśnie z komizmu owego kontrastu. Całe usposobienie, sposób rozdrażnienia, cały *afekt* postaci komicznej winien być przez się komicznym. Każda, niechby najdziwniejsza pomyłka, najzabawniejsze przerachowanie się, najcudaczniejsza dysproporcja między założeniem a wnioskiem, — wszystko to może być niedorzeczne, bez sensu, kołowate, opaczne — słowem, może być wszystkim, a jednak nie śmiesznym, a tem bardziej komicznym. Sprzeczność, jeżeli działać ma śmiesznie, koniecznie dotykać winna interesu osobistego, zamieniać się w rozdrażnienie i afekt, ukazać się jako omylona nadzieja, omylona zwłaszcza sama drobnoscia swych rezultatów: — przede wszystkim więc śmieszność wymaga figury, która ostatecznie widzi się zawiedziona, w dopięciu swojego celu, skutkiem niestosowności środków przez się użytych, — figury, która, lubo nie ponosząc w tem dotkliwego szwanku, poniekąd sama siebie w pole wyprowadziła. Wszakże i ta śmieszność potrzebuje jeszcze innego żywiołu, by podzielać na wzbudzenie wesołości, by działać *komicznie*. Każdemu, najrozumniesznemu nawet człowiekowi i najpoważniejszemu, może się raz i drugi wydarzyć, że idąc za celem do-

zwolonym, użyje takich środków nieodpowiednich, więc śmiesznych, — inaczej mówiąc: każdy może się tem samem wystawić na śmieszność, chociaż nie wywoła tem jeszcze wesołego, komicznego wrażenia. Na to, jak już napomknąłem, potrzeba oddzielnego usposobienia ze strony osoby, występującej z ową śmiesznością i mającej przez to pobudzić do wesołego i dobroczynnego śmiechu. Usposobienie zaś takie zasada się za tem, żeby śmieszność nie wynikała z nierozumu tej osoby, z jej fałszywego tylko poglądu, z jakiejś niedorzeczności, — lecz raczej z pewnej jej właściwości, z wrodzonego jakoby stanu duszy, z predyspozycji do tego, co śmieszne. Inaczej mówiąc, śmieszność w komedii powinna polegać na ludziach, posiadających temperament, manię, humor śmieszności, ale humor naiwny, nieświadomy siebie, bezwiedny. Owszem, wesołość i pogodność umysłu niekoniecznie zawsze bywają głównym usposobieniem osoby komicznej, idealnie komicznej, — a ta mania komiczna, na którą, by ją lepiej wyjaśnić, niechaj mi wolno będzie użyć wyrazu zapewne zbyt potocznego: ten *brak* komiczny, może nawet mieć barwę usposobienia wcale poważnego i uroczystego, i w takim razie sprawiać będzie wrażenie jeszcze tem bardziej i tem wyżej komiczne. Takim usposobieniem śmiesznego samozłudzenia, śmiesznego, skutkiem dysproporcji pomiędzy imaginacją a rzeczywistością stosownością do celu, jest usposobienie wzniosłego dziwactwa, jakiego mamy np. arcywzór w Don Kiszocie, — lubo jest jeszcze wątpliwem, czy podobne dziwactwo odpowiada zarówno komizmowi poetycznej komedii, jak humorowi romansu. W każdym razie jednak postacie prawdziwie komiczne powinny być humorystami z charakteru i usposobienia, — powinny umieć wystawiać się na śmieszność, jakby dobrodusznie, serdecznie, nie wiedząc o tem, jak dalece są komicznymi; będą to wówczas istotne figury komedii, rzeczywiście komiczne, śmieszność zaś objawiająca się w ich myślach i czynach, to będzie komizm prawdziwy, tryskający z najczystszej wiecznie źródła. Wszystkie inne jego gatunki: komizm sytuacji, wynikający ze sztucznego powikłania położenia i zajęć, — komizm składający się z przypadkowego, czy rozmyślnie ugrupowanego kontrastu momentów scenicznych, — komizm rozwijany ze wzajemnych omamień i intryg, — wszystkie te, mówię rodzaje śmieszności, jeżeli pozbawione owę jedną komiki afektu, owę barwę komicznej charakteru, albo na koniec owego pociągu ku dobroduszemu samozłudzeniu, niechaj się dadzą związać i rozpleść w najpociesniejsze igraszki dowcipu: — nigdy one z siebie samych nie spłodzą pierwiastku *poetycznego* komedii, jakim jest i być powinna wyłącznie indywidualna komika w charakterystyce.

Stanęliśmy tu na tym punkcie teoretycznego wyjaśnienia istoty komedii, którego mi przekroczyć nie wolno, jeżeli, zamiast zająć łaskawym moim słuchaczom kilka chwil wolnych wykładem niektórych cenniejszych faktów literatury komicznej, nie zechcę popaść w poważny, a więc oschły dla wielu wykład Estetyki. To com dotąd powiedział, zapewne wystarczy, gdy w dalszym ciągu wypadnie nam do tej skali pojęć ogólnych, przyłożyć niektóre pojedyncze utwory koryfeuszów komedii, albo pisarzy, którzy za takich uchodzą. Jako bowiem jeden z rodzajów najżywniejszych w literaturze powszechniej, komedya, niemniej jak starsza jej siostra, tragedia, najrozmaitszym w sobie podlegała kolejom, a między nimi, *przy* lub *po* najwznioślejszym polocie, zupełnemu nieraz wynaturzaniu się. Pierwsze jej i najświetniejsze objawy spotykamy u Greków, u których tragika także, z nieznaczących początków arcyzłości religijnych, rozrosła się do tak olbrzymich rozmiarów, że imiona jej trzech gwiazd przewodnich, Eschyła, Sofoklesa i Euripidesa, jasnieją dotąd na horyzoncie poezji blaskiem przez niewielu tylko geniuszów zrównanym. Otóż i komedya starożytnych Hellenów poszczycić się może jednym podobnym geniuszem, przynajmniej jednym takim, którego utwory nas doszły. Tym geniuszem jest Arystofanes. I komedya grecka wyszła z misteryów świątecznych na cześć bożka Bakchusa czyli Dionyzosa, a godność jej, jako oddzielnego rodzaju poetycznego, wyrobiło już kilku poprzedników Arystofana, tacy jak Epicharmos, Sophron, Kratinos, Krater, Eupolis i inni; po nich przecież zostały nam tylko nazwiska, co najwięcej tytuły dzieł i nieliczne fragmenta. Otóż Arystofanes doprowadził starożytną komedję ateńską do szczytu, a jakkolwiek z utworów jego znać w każdym wierszu, dla czego sztuka dramatyczna u Greków po-

święconą była kultowi Bakchusa, bo widne w nich wszędzie upojenie poezją, bakchanalie radości, przecież wielki i poważny myśliciel Platon nie wahał się wyrzec, że w duszy tego komicznego poety: Gracye obrały sobie mieszkanie. Arystofanes, urodzony (w połowie V w. przed nar. J. C.) w jednej z posiadłości zagranicznych swojego ojca Filipa, obywatela ateńskiego, z tego powodu oskarżony został sądowo przez zagorzałego i wszechwładnego demagoga, garbarza Kleona, że nie ma prawa do obywatelstwa Aten. Nie pozostało to bez wpływu na młodego poetę, który już w 17 roku życia pierwszą swoją sztukę, p. t.: *Pijacy*, a w następny *Babilończyków*, wystawił na scenie, i tu z zajądlnością rzucił się na Kleona. Jedną bowiem z cech charakterystycznych tej dawniej greckiej komedii, była swoboda wyprowadzenia przed publicznością figur współczesnych, żyjących, w maskach i z ruchami ludzkiego podobieństwa do oryginałów, którą to swobodę, gdy się łatwo wyrodziła w swawolę, później dopiero skrócono. Zachęcony powodzeniem, jakie zyskały dwie wspomniane komedye, oraz trzecią p. n.: *Acharnejczy*, w r. 424 wystąpił po raz pierwszy do igrzysk z nowym swoim utworem: *Rycerze*, w którym wszystkie dawniejsze na Kleona napaści z zadziwiającą odwagą prześcignął, sam oraz odegrał główną rolę, której z obawy przed zemstą potężnego garbarza żaden aktor podjąć się nie chciał. Komedya ta, przy niesłychanych oklaskach ludu, otrzymała pierwszą nagrodę. Z dalszych kolei jego życia niewiele wiadomo, chyba tylko, że zarówno charakter, jak talent, zjednały mu największy szacunek. Po wystawieniu komedii p. t. *Zaby*, w której z wyuzdanym, lecz najświetniejszym dowcipem wyśmiewał współczesnego sobie tragika Euripida, upatrując w nim, po śmierci wielkiego Sofoklesa, główny powód retoryzmu, a więc upadku w tragedii, przyznano mu nawet najwyższą nagrodę, gałązkę ze świętego drzewa oliwnego na zamku ateńskim Akropolis. Arystofanes równie wielkim był obywatelem, jak poetą; — żył on duszą i ciałem tylko dla swojego kraju i sztuki, — działał bezustannie na korzyść swoich zasad politycznych i poetycznych; — przypuściwszy nawet, że te zasady były błędnymi, sama wytrwałość i surowość w ich przestrzeganiu zasługiwałyby na wszelkie uznanie. Kiedy demokracja ateńska upadła, kiedy ustanowiono zarząd 30 tyranów, poeta uczuł się swoją zlamana; w r. 388 przed Chr., mając lat wieku 56, wystawił ostatni swój dramat, p. t.: *Bogactwo*, w którym, po wydanym już wówczas zakazie wyprowadzania na scenę osób współczesnych, wkroczył już na pole tak zwanej średniej komedii; — z późniejszych, jeżeli jeszcze jakie napisał, odstąpił podobno zaszczytu autorstwa swemu synowi Ararosowi, — w każdym jednak razie sam wkrótce umarł, z sercem od żalu ściśniętym, bo i jego Ateny bezpowrotnie już były zginięły.

Arystofanesa uważają niekiedy za najzagorzalszego konserwatystę w polityce i w religii, dla tego, że nielitościwie wyśmiewał nowatorów, jak np. i głównie Sokratesa, oraz że przy każdej sposobności powstawał przeciw nadużyciom władzy ludowej. W gruncie rzeczy jednakże poeta był tylko nieograniczonym sceptykiem, którego humor wszystko, zarówno nowych ludzi, jak starych Bogów, na nieskończone wystawiał pośmiewisko. Demokracja ateńska bynajmniej też tak nie była zepsuta, jak ją w wyuzdaniu dramatycznej swjej werwy przedstawia zwykły Arystofanes; — że zaś nie brakło jej również na serdecznym humorze, dowodem to, że przyklaskiwała olbrzymim jego z siebie samej karykaturom, bo uznawała w nim wielkiego poetę, bo wielbiła bogactwo jego fantazyi, ową siłę komiczną i potęgę w postaciowaniu figur, na koniec ów styl uroczy, który obok najwyuzdańszych wybryków zdolnym był raz do najwznioślejszego pathosu, to znów do najpełniejszej wdzięku rzewności. Otóż ci, którzy tak sądzą o Arystofanie, pojąc tego nie chcą, czy nie umieją, że charakter dawniejszej komedii attyckiej wytłómaczyć da się jedynie najswobodniejszemu życiem ludu ateńskiego, — że przytem lud ten, posiadający w niepospolitym stopniu znakomite ukształcenie, zarówno estetyczne, jak polityczne i historyczne, nie był, na wzór dzisiejszych naszych czytelników, słuchaczy i widzów, drażliwym na każde draśnięcie miłości własnej, na każde wystąpienie przeciw powziętym z góry przekonaniom, nienawiściom i zamiłowaniom, — że więc rzecz każdą można mu było przedstawiać bez ogródki, a on nie tylko się nie obrażał, lecz z żartu poważną dla siebie wyciągał naukę.

Formą zewnętrzną komedye Arystofanesa (z 54

zostało nam tylko 11) zbliżały się do tragedii:—tam jak tu były prologi, odznaczające się częstokroć górnym połotem poetycznym, epizody i epilogi na wpół dydaktyczne. Chórowi towarzyszyła orkiestra flecistów, której muzyka parodiowała zwykle chóry tragiczne. Charakterystycznymi w tych komediach były także *parabazy*, tak bowiem zwano tę część chóru, zwykle w połowie sztuki, w której jego przewodnik, czyli chorąg, w imieniu poety przemawiał do widzów, już to występując z dobrimi radami, już zastanawiając się nad wypadkami współczesnymi. Po skończonej wojnie peloponezyjskiej, gdy nieograniczona demokracja i życie publiczne w Atenach upadły, stara ta komedia, również niczem nieograniczona, uleżała pewnym modyfikacyom i coraz bardziej zbliżała się do wylizanej, a ogólnie swymi charakterami nikomu nie uwłaczającej komedii nowożytniej. Powstał ztąd rodzaj przejściowy, zwany *komedią średnią*, której czas trwania przypada mniej więcej między r. 400 a 340 przed nar. J. Ch. Właściwy charakter tej komedii trudno nam dziś już oznaczyć, bo z 617 sztuk tego rodzaju, utworu 57 autorów, pozostało nam tylko nieco oderwanych fragmentów:—zdawałoby się jednakowoż, że miała charakterów tych kilka, stosownie do talentu i usposobienia samych autorów. Historyczne aluzje nie ze wszystkiem wprawdzie jeszcze ustały, lecz były one więcej ogólne, a osoby wystawione na śmieszność raczej typami charakterów, niż jednostkami:—treść główną stanowiły po większej części sprawy i intrygi miłosne, udratyzowane przysłowia, rozwiązania zagadek, albo też przedmioty mytologiczne, żarty z upadłej tragedii i filozofii, lub tym podobne dążności. Maski również z portretowych stały się charakterystycznymi, osoby przedstawiane należały już zwykle tylko do klas niższych; ton całości stawał się przyzwyczajonym, dowcip mniej ostrym, język gładszym,—słowem, wszystko wprawdzie więcej wytwornem, ale za to mniej też genialnem, częstokroć nawet zupełnie pedanckiem.

(d. c. n.)

POGADANKI NAUKOWE Z DZIEDZINY OPTYKI I ŚWIATŁA

FENOMENA WZROKU.

(Dokończenie.)

Budowa oka przewyższa nieskończenie najdoskonalsze wytwory rąk ludzkich — nie możemy pojąć nie doskonalszego rozumnie obmyślonego.

Przypatrzmy się najpierw stronie zewnętrznej. Ilektoż szkieł obronnych osłania oczy. Dla zabezpieczenia od ran i uszkodzeń, umieszczone są w pewnej głębokości i otoczone mocnymi kośćmi; dalej brwi są także dla oczu rękami bezpieczeństwa i trwałości, bo włosy ich w piękny łuk się rysujące, nie dopuszczają aby pot z czoła mógł się dostać do oka. Dalej gdy sen zaczyna nas ogarniać, powieki się zamykają, aby działanie światła nie zakłócało nam spoczynku; rzęsy zaś, nie tylko dodają powabu, ale zarazem chronią oczy od zbytniego światła i kurzu, który mógłby stać się tak szkodliwym.

Ale czemże jest to wszystko w porównaniu z wewnętrzną budową oka!

Główna część całego przyrządu zwana *gałką oczną*, ma kształt prawie kulisty, objęta jest pokryciem błoniastem i napełniona wewnątrz istotą przezroczystą, dzielącą się według gęstości na trzy osobne części. Na przodzie, gałka oka przedstawia wypukłość, jakby odcisk kuli i ta część pokryta jest błoną zupełnie przezroczystą, zwaną *rogówką przezroczystą*, wstawioną jak szkiełko od zegarka, w białą błonę pokrywającą resztę gałki. Ta zewnętrzna błona oka zwana *twardówką* lub *rogówką białą* a w nieuczonej mowie białkiem oka, jest biała, połyskująca się jak porcelana, a jako nadzwyczaj mocna jest ochroną i konserwatorką oka. Pod błoną białą, znajdują się jeszcze na całej tylnej części gałki dwie, leżące na sobie powłoki, *naczyniówka* tak nazwana od licznych rozkrzewiających się w niej naczyń krwionośnych, zaś na wewnętrznej jej powierzchni osadzony jest pokład barwnika czarnego, zwany *mokatem*, tworzący w głębi oka ciemną komorę, do której światło tylko od przodu wchodzić może. Przedni brzeg na-

czyniówki styka się z błoną rozpiętą pionowo wewnątrz oka, w pewnej odległości od rogówki przezroczystej: błona ta zowie się *tęczówką*, różnie zabarwioną i przedstawiającą krąg zabarwiony, zwykle w potocznej mowie kolorem oczu zwany. W środku tęczy jest otwór zwany *źrenicą*, jest to jedyne jakby okienko, przez które światło wchodzi do ciemnej komory oka, to nam tłumaczy dla czego źrenica widziana zewnątrz, wydaje się jak czarna plamka. Otwór źrenicy może się rozszerzać lub ścieśniać stosownie do natężenia światła. Po za tęczą leży szczególnie utwor, zwany *wieńcem rzęskowym*. Nakoniec trzecia, czyli wewnętrzna błona oka, zwie się *siatkówką*, w której rozprasa się nerw wzrokowy i która za pośrednictwem tego nerwu, doprowadza do wiedzy odbite na niej obrazy.

Jak powiedzieliśmy wyżej, wewnątrz oka napełniają trzy ciała różnej gęstości, lecz zupełnie przezroczyste. Przestrzeń między rogówką przezroczystą a soczewką, napełnia tak zwana *ciecz wodnista* w którą zawieszona tęczą dzieli ją na dwie komory, jedną przednią większą, drugą tylną mniejszą, komunikującą się z sobą tylko przez otwór źrenicy. Tuż za źrenicą na osi oka, między cieczą wodnistą od przodu a leżącym po za nią *ciałem szklanym*, zawieszona jest *soczewka*, tylna jej powierzchnia jest bardziej wypukła niż przednia, a tworzącą ją treść galaretowatą, jest nieco twardsza niż *ciało szklane* napełniające tylną, znacznie większą połowę gałki ocznej.

Dzięki tej rozumnej, godnej uwielbienia budowie oka, przedmioty zewnętrzne z dziedziny ciał przechodzą w dziedzinę myśli, stają się dostępne dla naszego umysłu, który może ich osiągnąć z łatwością, jak gdyby żadna odległość nie oddzielała ich od niego. Mechanizm ten nadaje się do wszelkich warunków, sam z siebie i bez naszej wiedzy zastosowuje się do zmian światła i odległości, i czego żaden przyrząd wytworzony ręką ludzką dokazać nie może, zdolen jest odróżniać z największych znanych odległości, widomą naturę gwiazd lub słońca zarówno, jak najdrobniejszy druk lub pismo.

Cudowny ten organ Brewster nazywa strażnicą, strzegącą przejścia między światami materji i ducha, znoszących się z sobą za jego pośrednictwem. Nerw optyczny jest zmysłem, przez który umysł pojmuje wszystko co ręka przyrody kreśli na siatkówce, i przez który przekazuje ona tej materialnej tabliczce swe postanowienia i utwory.

Oko jest właściwie prostym przyrządem optycznym, którego skład można poznać dokładnie przypatrując się uważnie oku wołowemu. Rozciąwszy je ujrzymy dającą się wyjąć soczewkę, złożoną z materji galaretowatej, mającą też same własności co soczewka szklana. Promienie światła od przedmiotów zewnętrznych, przez źrenicę dostają się do oka, a przez soczewkę w ten sposób zostają załamane, że obraz przedmiot powstaje na ścianie tylnej utworzonej przez siatkówkę oka, wrażenie zaś przesłane do mózgu od siatkówki za pomocą *nerwu wzrokowego* nazwane jest widzeniem.

Promienie wychodzące od przedmiotu ulegają załamaniu, najprzód w wypukłej komorze, napełnionej cieczą przezroczystą a powtórnie w soczewce, przez co powstaje na siatkówce zmniejszony i przewrócony obraz przedmiotu znajdującego się przed okiem. Aby się o tem przekonać, dość jest zrobić dwa małe otwory w okiennicy lub drzwiach wychodzących na przestrzeń oświetloną słońcem, a roztaczający się po za niemi krajobraz, odbije się w pokoju zmniejszony i przewrócony. O gruntowności tego naukowego pewnika, przekonują nas doświadczenia robione z okiem wołowem: dość jest w skórce jego wyciąć mały otwór, i przedmiot jakiś ustawić przed źrenicą, n. p. zapaloną lampę lub świecę, a ujrzymy wyraźnie na tylnej ścianie oka, zmniejszony i odwrócony ich obraz.

Jakże się to więc dzieje że tego nie dostrzegamy, i pewni jesteśmy że wszystko w naturalnem widzimy położeniu? Fizjologisci i fizycy różne w tym względzie objawiali zdania. Jedni, a między innymi Buffon, przypuszczali że skutkiem nawyknienia i *prawdziwej edukacji* oka, nauczyliśmy się wszystko w myśli odwracać i do właściwego przywracać stanowiska. Alembert i wielu innych mniemają znowu, że odnosiemy rzeczywiste położenie przedmiotów do kierunku wychodzących z nich promieni, które to promienie załamując się na siatkówce, sprawiają że oko widzi te punkta jak gdyby się nie załamywały. Inni dowodzili że promienie załamują się dwukrotnie, przez

co wszystko do właściwego wraca stanu. Nakoniec znany fizjologista Müller i wielu jeszcze fizjologistów twierdzą, że ponieważ nie jeden tylko przedmiot lecz wszystkie w ogóle widzimy w odwrotnem położeniu, więc brak nam środków porównania. P. Fulgencjusz Marion, z którego dzieła „*Phénomènes de la vision*” czerpiemy najwięcej danych o jakich w tych pogadankach traktować zamierzamy, jest zdania że zaraz po odebraniu wrażenia, soczewka przekazuje mózgowi wiadomość o kierunku promieni światła, rozbiegających się po wszystkich punktach rozwoju nerwu optycznego. Przedmioty widziane są prosto, ponieważ wszystkie ich punkta widzimy stosownie do rozchodzenia się promieni światła odbijających się na siatkówce, — a że nie patrzymy na obraz odzwierciedlający się w naszym oku, ale na jego oryginał, więc w rzeczywistości nie widzimy przedmiotów odwrotnie. Zmysły nasze odbierają wrażenie i ono to daje nam pojęcie przedmiotów.

Dla zdrowego oka, *odległość wyraźnego widzenia*, co do przedmiotów drobnych, jak n. p. druk książek, wynosi przeciętnie 30 centymetrów. Ale może nie znalazłby na całym świecie dwóch osób mających wzrok jednaki, gdyż nawet oczy jednej i tej samej osoby, zazwyczaj nie zupełnie jednako widzą. Niektóre osoby chcąc czytać, muszą trzymać książkę o 20, 15, 10 a nawet i o 5 centymetrów od oczu. *Taki wzrok zowie się krótkowidznością* a przyczyną jego jest: że oko zbyt mocno załamuje promienie światła. Można temu zapobiedz sztucznie, za pomocą soczewek szklanych, wklęsłych, rozpraszających promienie od wszelkich wychodzących przedmiotów. Inne znowu osoby chcąc czytać, muszą oddalać druk lub pismo o 40, 50, 60 centymetrów, a niekiedy nawet dalej od oczu. Taki wzrok jest *dalekowidznością*. Skutkiem *dalekowidztwa* jest spłaszczenie się komory, nie dopuszczające zejścia się promieni przed siatkówką, zatem dalekowidzowi potrzebne są okulary z soczewkami wypukłymi czyli skupiającymi, wzmacniającymi załamanie promieni.

Krótkowidztwu więcej podlegają osoby młode, *dalekowidztwu* zaś starsze, z wiekiem wypukłość oka zwykle się zmniejsza i dla tego wzrok krótki wzmacnia się i polepsza z biegiem lat, gdy inne mocniejsze zazwyczaj słabną.

Powiedzieliśmy wyżej, iż żadnej nie ulega wątpliwości, że wszystko na co spoglądamy w odwrotnym kierunku maluje się na siatkówce oka, i oto pierwsze z owych złudzeń widzenia, jakie w następnych pogadankach opisać zamierzamy.

J. Belejowska.

MŁOT I KOWADŁO ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH Fr. Spielhagena

przełożył z niemieckiego Michał Głiszczyński.

(Dalszy ciąg.)

Od czasu naszego spotkania na okręcie, nie widziałem go jeszcze, chociaż kilka razy był w stolicy i w fabryce. Z początkiem wiosny udał się do Zehrendorfu, gdzie rozpoczął wiele robót około podziwiania dóbr tych z upadku. Hermina całe lato będzie na wsi bo polubiła bardzo życie wiejskie. Oczywiście i panna Paulina Bête była przy swojej wychowawcy. Wszystkiego tego dowiedziałem się od Wandy, która korespondowała z Herminą. Czy w tych listach wspominało co o mnie, nie mogłem się dowiedzieć, a Wandy nie chciałem się wprost pytać. Chociaż Wanda oświadczyła mi, że mię wyda przed niemi iż w ich fabryce pracuje, ale zdaje mi się że tego nie uczyniła i że nie w Zehrendorfie o mnie nie wiedzą. Może osoba moja obojętną była dla Herminy, ale miałem w sercu jej uczuciowej gubernantki dosyć znakomite miejsce; nie zapominała pewnie swojego Ryszarda i Kastora i będzie go szukała dopóki go nie znajdzie.

Ciemna mgła zalegała w tej stronie, która się dopiero później, może zapóźno, przedemną rozwiła. Dziwił mi tylko zapal z jakim Wanda o Herminie mówiła, że jest to slične stworzenie, z którego może wyrość wyborna kobieta, jeżeli dostanie dobrego i mądrego męża. Albo znowu. „Szczęśliwy ten ko-

go ona pokocha, ale musi to być człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu; jest to skarb, który trudniej utrzymać niż zdobyć."

Jaki powód miała Wanda do rozwodzenia się przedemną z temi pochwałami Herminy, nie mogłem odgadnąć. Czy przenikła, że gwiazda mojej podróży do stolicy były jej niebieskie oczy? Czy mi chciała dać poznać niedorzeczności moich myśli, które od czasu do czasu napadały na mnie? Była to tajemnica między mną i Wandą, ale nie jedna i nie najgłębsza. Nie wspominałem jej ani słówka o spotkaniu się z Konstancją; była to głęboka ale brzydka rana i powinna była sama cicho się wygoić. Dziwna to rzecz, że taka tajona rana dwa razy więcej boli i dwa razy trudniej leczy się. Co chwila z obawą wyglądałem ze rozmowa padnie na Konstancję, a dobroć tej zacnej i wierniej przyjaciółki nieraz przykrą mi była! Może Książę i Artur wiedzieli o tej tajemnicy, ale na szczęście żaden z nich dotąd nie pokazał się u Wandy, a z boku znowu dowiedziałem się, że stary książę dowiedziawszy się że syn całą stolicę oburzył swoją rozpustą i cynicznym zbytkiem, wysłał go na wieś. Artur pojechał z nim. Nie długo potem czytałem w gazetach, że intendent królewskiej opery zaangażował głośną już śpiewaczkę, ale że nie bardzo byłoby stosownem tak od razu z niskich sfer wynieść ją aż do godności nadwornej śpiewaczki, dano jej urlop na kilka miesięcy żeby dopełniła swój repertuar, wyjechała też zaraz do Paryża. Inne dzienniki doniosły że przyjechała w towarzystwie owego tenora Lenza, który także na jej żądanie przyjęty został do królewskiej opery. Ten Lenz, pisano nazywa się właściwie v. Sammer i jest synem wysokiego urzędnika. Podobno i panna Bellini pochodzi ze znakomitego rodu, o czem przez dyskrecję zamilczamy.

ROZDZIAŁ VIII.

Nastala wiosna! Śliczna wiosna! Pracy mieliśmy dosyć w fabryce a mielibyśmy daleko więcej, gdyby był chciał radca zaprowadzić u siebie budowę lokomotyw. Zadanie było wielkiej wagi a nawet podług mnie, ściśle się wiązało z dobrym bytem dotychczasowej fabryki. Jeżeli radca nie przyłączy tej gałęzi tak na czasie do swojego zakładu, to straci całą wziętość. Inne fabryki mniejsze i mniej szczególnie położone, rzucają się na tę fabrykację tak teraz wymagana i prześcigną nas na zawsze, bo jeżeli gdzie to w przemyśle kto naprzód nie idzie ten się cofa. Dziwna rzecz dla czego ten tak rozumny i przedsiębiorczy człowiek, nie chwycił zaraz tej wielkiej wagi nowości, chociaż prawda nie mogło się przy tem obejść bez wielkich przewrotów i nakładów. Trzeba było nowe maszyny sprowadzać, siłę parą i liczbę warsztatów powiększyć, przyjąć więcej urzędników i robotników: a nadewszystko nowe budynki stawiać, co by się nie dało inaczej zrobić, tylko przez zakupienie całej przestrzeni gdzie mieszkaliśmy. Wszystko to wymagało dużo pieniędzy, wielkiej obrotowości i silnego postanowienia.

Panu radcy nie zbywało na pieniądzech, jak ludzie mówili, ale nie miał przenikliwości i mocnej woli przemysłowca. Wszyscy co znali się na tem i Dyrektor i panowie z kancelarii i Nad-majster a nawet Klaus, niecierpliwił się i niekontenci byli ze swojego naczelnika, że się nie decydował i zamiast z całą energią rzucić się na to milionowe przedsięwzięcie, siedzi na wsi i gospodaruje. Nikt jednak tak się nie niecierpliwił jak ja. Znałem na pamięć młodą historię kolei żelaznych w Anglii, we Francji i w Belgii i wiedziałem że i u nas przybierze olbrzymie rozmiary a zatem lokomotywy to kopalnia złota. W dodatku dyrektor Zehren, cały oddany mechanice a szczególnie kolejom żelaznym, wymyślił i zrobił model lokomotywy, nad którym ciągle pracowaliśmy i przerabiali. Widziałem teraz że myśl genialnego człowieka urzeczywistniła się, to też poczułem w sobie zapał wyścigowego konia, który chce pierwszy u mety stanąć. Myślałem ciągle nad tem jakby przełamać opór radcy i wymyśliłem co następuje. Napisałem projekt, w którym rozebrałem z całą ścisłością powody, dla jakich i w jakim kierunku działanie fabryki rozszerzyć konieczne wypada. Projekt ten miał być posłany radcy na wieś; nie może on nie uderzyć jego pojętności. Doktor Snelius nie pochwałiał tego planu. Nie mógł pojąć mojej namietności do lokomotywy, ale zrozumiał dobrze, że kilkuset robotników znajdzie robotę i utrzymanie a to było dla niego główną rzeczą. Zaczął znowu mówić

o owych 50000 talarach i namawiał mnie żebym na wspólny rachunek nowy zakład wystawił. Wytłomaczyłem nie bez pewnej sprzeczki doktorowi, że plan mój może się nie udać, że nie chcę jego funduszów ryzykować, tak potrzebnych u niego dla biednych i nieszczęśliwych. Gniewał się, piał, skakał z nogi na nogę ale wreszcie udobruchał się. Wuj Klause i Krystyny jakoś nie zgłaszał się z dolarami i sztabami a zatem pozostawał mi tylko radca. W kilku nocach wykończyłem cały projekt i miałem go postać, nagle stanęło przedemną ważne pytanie, jeżeli podpiszę moje nazwisko to zdradzę swoje inkognito, a chociażbym i nie podpisał to na jedno wyjdzie, bo taki tylko mógł ten projekt ułożyć, co zna dobrze fabrykę? Będą śledzić, dopytywać się i dobiorą się do mnie. Całe dwa dni biłem się z myślami co począć?

— Musisz się koniecznie i prędko zdecydować, rzekła Wanda i nie ma nad czem głowy łamać, że tak a nie inaczej postąpić powinien.

Ze wstydu nie powiedziałem nic o tem Wandzie, ale Karol pracujący już w fabryce przy Klausie, przychodził do mnie co wieczór, widział com robił i powiedział wszystko siostrze.

— Nie gniewaj się oto na Karola, nie mógł przecie myśleć że ukrywam coś przed siostrą.

— A ty nie masz żadnych tajemnic?

— Co przez to rozumiesz? odpowiedziała patrząc na mnie z pewnego rodzaju niepewnością.

Nie mogłem jej wyraźnie powiedzieć, że i ona ukrywa przedemną treść listów Herminy. Wybąknąłem sam nie wiem co i skierowałem rozmowę na mój plan, na moje dalsze nadzieje.

— Już bardzo dawno nie mówiłam z tobą o tym przedmiocie, jestem więc nie bardzo z nim obznajmioną. Przyslij mi jednak swoją pracę przez Karola to ją przeczytam.

Było to w niedzielę. Przez cały tydzień miałem więcej niż zwykle roboty, bo musieliśmy wystawić szczególniej konstrukcji maszynę do łamania wapna, którego radca dużo i pilno potrzebował na wsi. Wszystkie części jak najstaranniej odrobiono i złożono, a jednak kiedyś dla próby chcieli puścić w ruch maszynę, szyber fałszywie robił poruszenia. Werkfirer i ja oniemieliliśmy, porównywaliśmy rysunki, rachunki, wszystko było jak najdokładniej wykończone a machina źle funkcjonowała.

— A niech wszyscy diabli porwą! Co to jest? kłął werkfirer.

— Co się zrobiło? odezwał się wchodzący nadmajster.

Nadmajster Roland był sobie po prostu ogromny chłop, jak cyklop. Machina złamała mu nogę więc kulał, mimo to miał się bardzo dobrze a nawet bardzo z tego był kontent kiedy się dowiedział, że bożek jego rzemiosła Wulkan także był kulawy. Ziemski ten Wulkan, kiedyś mu opowiedzieli co się stało, spojrzął z uśmiechem na mnie, na werkfirera i na dwóch robotników naszych i przemówił:

— Musi być gdzieś jakaś wada w wykonaniu, pokazcie mi rysunki.

Zaczął, tak samo jak my, porównywać wymiary, a im dłużej porównywanie trwało, tem więcej uśmiech zniknął z twarzy cyklopa. Po kwadransie czasu zabrał rysunki i poszedł z niemi do bióra mrucząc ciągle. „Musi być jakaś omyłka w rysunkach!”

Byłem innego zdania, wiedziałem z pewnością że rysunki i wymiary były dokładne: błąd ukrywał się gdzieś daleko głębiej. Stałem spokojnie z założonymi rękami, tym czasem werkfirer, nasi pomocnicy i kilku innych robotników, których ciekawość sprawadziła, czynili jak najrozmaitsze uwagi i domysły nad machiną.

— To bardzo prosta rzecz! odezwał się pan Windfang z technicznego bióra, który właśnie nadziedzł z nadmajstrem bardzo zakłopotanym.

Pan Windfang nie był wcale cyklopem i nie kulał: był to młody przystojny mężczyzna.

— To bardzo prosta rzecz! Zróbcie jeszcze raz próbę.

I nie wiem który to już raz zaczęliśmy na nowo próbę, ale szkaradny szyber uparcie ciągle się fałszywie poruszał.

— Dajcie mi rysunki! A prawda mam je w ręku, błąd musi być w rysunkach.

Kiedy sprawdzania, mierzenie i próby do niczego nas nie doprowadziły, kiedy werkfirer, nadmajster i pan Windfang zaczęli na siebie pomieszanymi spojglądać, nie mogłem dłużej wytrzymać i odezwałem się:

— Porównywania na nic nam się nie przydadzą, miary zgadzają się zupełnie, wada musi być w samej budowie, w samym mechanizmie.

Te śmiałe słowa zwróciły na mnie uwagę wszystkich: pan Windfang wziął ze mnie miarę oczami od góry do dołu i od dołu do góry; na twarzy Rolanda pokazał się znowu między ogromnymi faworytami dawny wesoły uśmiech, bo jeżeli to była prawda com mówił, to wina spadała nie na niego ani na nas, ale na bióro techniczne. Werkfirer i robotnicy patrzyli życzliwie na mnie, śmiali się i kiwali głowami jakby mówili: „Dobrze wam teraz.

— Jak pan możecie coś podobnego mówić? krzyknął pan Windfang.

— Bo jestem pewny że wada jest w samym mechanizmie.

— To jest śmiałkowata zarozumiałość.

— Przecież pan i pańscy koledzy nie jesteście nieomylni.

Ludzie głośno się roześmiali.

— Rozmówimy się z sobą!

— A tak rozmówimy się!

Młody choleryczny pan wyleciał z fabryki czerwony jak kogut, cyklop Roland zatarł ręce z radości: „Dziękuję ci Hartwig dobrześ go odprawił” a robotnicy poszli ze mną na dziedziniec powtarzając, że moja sprawa jest ich sprawą. Przysli także Karol i Klaus. Wiedzieli już o mojem zajściu z technicznym biórem i dopytywali się żywo o szczegóły. Pożegnałem wszystkich bo mi pilno było do domu, żeby się przygotować do podjęcia rzuconej rękawiczki. Miałem u siebie wszystkie rysunki i wymiary maszyny, nad którą od samego początku pracowałem w najgrubszych nawet szczegółach, miałem i książki do pomocy i olej w lampie i węgle w kominie.

I siedziałem tak przez całą chłodną noc, w głowie móg się palić, oczy się wyteżyły a rachowałem wciąż, mierzyłem, porównywałem, zestawiałem a kiedy pierwszy świt dnia zabłysnął na dachach i w mojem oknie, znalazłem już czego szukałem. Wtedy z głowy przeszło do serca nieopisane uczucie zwycięstwa i radości, a serce bić mi mocno poczęło. Cicho moje serce. Wszystkoś jemu winno! I w tym różowym poranku pokazywała mi się twarz mojego nauczyciela i przyjaciela, tzy puściły mi się z oczów. Rzuciłem się na łóżko, i spałem twardo przez jakie dwie godziny.

— No i cóż Malajczyk? pytali się koledzy, kiedy mnie na dziedzińcu zobaczyli.

— No i cóż Hartwig? pytał się nadmajster, stojąc przed nieszczęśliwą machiną.

— No i cóż Jerzy? pytali się Klaus i Karol.

— Rzecz tak się ma! odpowiedziałem wszystkim.

I stanąłem przy maszynie i rozpocząłem małą prelekcję w której wyłożyłem rezultat moich nocnych badań, sposobem jak najprzystępniejszym. Wszyscy zrozumieli mój wykład, wszyscy słuchali mnie z wyteżoną uwagą a kiedy skończył Karol z całych sił klasnąć począł, Klaus patrzył na wszystkich z dumą, robotnicy spoglądali z zadziwieniem po sobie, a cyklop Roland krzychał śmiejąc się z całego gardła.

— Tęgo! mój synu! tego, już my im pokazemy.

— Masz iść do dyrektora, Malajczyk! zameldować woźny z bióra:

Wszyscy moi słuchacze spojrzeli po sobie,

— Tęgo mój synu! wołał nadmajster. Rznij prawdę a śmiało!

Pan Berg dyrektor był dobry, skromny ale także ograniczony człowiek.

— Słyszałem Hartwig żeś chciał odszukać wadę w nowej maszynie. Chociaż mi się to nie wydaje prawdopodobnem, trafiło się nieraz że taki jak ty przedź rozwiązywał trudne zadanie niż uczeni z książek. Jakże sądzisz gdzie jest wada w maszynie?

— Już nie sądzę panie dyrektorze, bo na pewno wiem, odpowiedziałem bez żadnej fanfaronady. Wyjałem potem rachunek i rysunki z kieszeni i zacząłem objaśniać całą rzecz dyrektorowi. Wypadek był dosyć skomplikowany a zatem i rachunki zawiłe. Rozogniony wykładem zapominałem, że tym sposobem zdradzam się kto jestem, przyszło mi to wtedy dopiero na myśl, kiedy zobaczyłem że dyrektor z zadziwieniem mi się przypatrywał.

— Na miłość Boską, mój panie, zkad ty to wiesz?

— A przecież sam pan dyrektor powiedział, że pan zacząłeś od prostego robotnika i że przez pilność i uwagę wiele można się nauczyć.

Dyrektor przyglądał mi się z taką miną, jakby nie

wiedział co ze mną zrobić. Rozmyśliwszy się kazał mi rysunki i wyrachowania zostawić i dał mi słowo honoru, że nikt oprócz niego wiedzieć tego nie będzie. Jeżeli dobrze odgadł to będzie sława dla mnie, ale i panowie z technicznego bióra, muszą także swoje uwagi przedstawić.

Trwało to jednak dzień, dwa, nawet tydzień, wszyscy z niecierpliwością oczekiwali rezultatu. Wszyscy od nadmajstra aż do prostego czeladnika wiedzieli, że Malajczyk odkrył w czym jest wada nowej maszyny; że panowie z bióra dotąd nic nie znaleźli a Klaus Pinnow dawał w zakład swoją głowę, że Malajczyk wygra.

Przyszła niedziela, nieszczęśliwa machina stała nieruchoma, nieodgadniony sfinx, którego tajemnicę ja sam jeden wiedziałem. Zaczęliśmy inną robotę, ale nie bardzo nam szło raźnie. Jest to wrodzonym człowiekowi, że niechętnie bierze się do nowej pracy dopóki dawniejsza nie zostanie skończoną.

— Masz pan iść do dyrektora panie Hartwig! zameldować znowu woźny.

Wszyscy spojrzeli na siebie z zadziwieniem że z Malajczyka raptem zrobił się pan Hartwig. Wszyscy domyślili się że nadeszła chwila stanowcza, a nadmajster, przechodzący właśnie przez mój warsztat, schwytał mnie swoją ręką cyklopa i rzekł:

— Trzymaj się ostro mój synu! Nie ustępuj ani na krok! Uzbrojony taką zachętą wszedłem do pokoju dyrektora, który zaraz wstał podał mi rękę i z pewnem zakłopotaniem odezwał się.

— Winszuję panu, p. Hartwig, masz zupełną słuszność. Pański rachunek jest w dodatku trzy razy prostszy niż panów z technicznego bióra. Powiedziałem im słowo prawdy a teraz siadaj pan i odpocznij.

— Ależ panie dyrektorze główna rzecz w tem, że niedokładność została odkryta. Kto ją odkrył to rzecz małej wagi.

— Przepraszam pana panie Hartwig. Dla dyrektora takiego zakładu, nie jest wszystko jedno czy zadania technicznego bióra w biurze, czy w warsztacie bywają rozwiązywane. Dla mnie głównym zadaniem jest, żeby każdy był tu na swoim miejscu a próba ta, wskazała ręką na moje rysunki i rachunek — dowodzi żeś pan dotąd był w jak najfałszywszem położeniu.

— Jest to moja wina panie dyrektorze. Każdy tak śpi jak sobie pośpie.

— To też właśnie jest jedyną moją pociechą, że mogę śmiało odeprzeć wyrzuty pana radcy. Czytaj pan.

Wziąłem podany mi list przez dyrektora, i przeczytałem całe cztery stronnice, gdzie biedny pan Berg zarzucony został wszelkiego rodzaju i tonu wyrzutami, że człowieka takiego jak ja, którego matematyczne i techniczne zdolności zna oddawna, miał w fabryce a nie mu o tem nie doniósł, a zatem kochany mój panie dyrektorze, jeżeli chciałeś zataić tak ważne zdarzenie, toś powinien był dać mojemu młodemu przyjacielowi, przynajmniej odpowiednie jego zdolnościom miejsce, a może bałeś się żeby to miejsce nie było twoje własne.

— To niegodziwość! rzekłem kładąc list na stole.

— Nie jest to jeszcze tak źle. Czytaj pan dalej.

— Nie będę czytał!

— A jednak musisz! Najważniejsza rzecz jest na koncu.

„W takim położeniu rzeczy, takie tylko zadosyć uczynienie pozostaje dla mojego młodego przyjaciela, po pierwsze: przenieść go zaraz do technicznego bióra, a powtóre, żebyś go w moim imieniu prosił, żeby on sam przyjechał do Zehrendorfu i sam maszynę ustawił. Pisałem o tem wprost do niego.“

— A zatem panie Hartwig, mówił z uśmiechem dyrektor, miejsce w biurze zdobyłeś sobie sam własną pracą i co do drugiego punktu zrób to dla mnie i jedź do Zehrendorfu w miejsce Windfanga, którego miałem zamiar posłać. Wykończenie maszyny potrwa jeszcze z tydzień a wiem jak każda zwłoka niecierpliwi radcę, jeżeli jaki przyjaciel nie przemówi za mną to mogę stracić miejsce. Idź pan teraz do domu, przygotuj się do podróży, bo dziś musisz odjechać ostatnim pociągiem.

Ścisnął mnie za rękę, poszedłem do domu najdziwniejszymi miętany myślami.

ROZDZIAŁ IX.

Myśli i uczucia moje jeszcze bardziej się zagmatwały kiedy zastałem u siebie list radcy handlowego.

„Kochany młody przyjacielu! O te kobiety, kobie-

ty! Teraz się dopiero dowiaduję o tem co przedemną już od pół roku ukrywały, że pracujesz w mojej fabryce jak Samson u Filistynów. Czyliż nie prosiłem cię tyle razy w domu mojego niezapomnianego przyjaciela, żebyś się zaraz do mnie zgłosił jak tylko wolnym będziesz? Dla czegoż nie uczyniłeś tego? Dla czego ukrywasz światło pod korcem? Już to oddawna miałeś do tego skłonność, ale teraz światło twoje musi świecić przed ludźmi a napród przedemną. Przybawaj co najprędzej do nas, mam wiele z tobą do mówienia o tutejszych i fabrycznych interesach, które znasz do gruntu. (Te wyrazy były podkreślone). Zabawisz się tu dobrze między dobrymi dawnymi znajomymi, między którymi nie ma starszego i życzliwszego jak twój:

Filip! August Streber.

Przeczytawszy list pierwszą moją myślą zaraz było to, skąd się radca dowiedział że tu był? że się na mechanice zna? kiedy i jak? Na co się męczyć? zawołałem, porwałem za kapelusz, pobiegłem do Wandy.

— Jesteśmy dzisiaj jakoś rozdrażnieni! mówił stary przyjaciel wachmistrz, kiedyśmy stanęli przed pracownią Wandy.

— A czy nie wiesz powodu?

Zacny Zismilch ruszył głową, która podług jego mniemania tak ważną rolę odegrała w historii nowożytnego malarstwa.

— Trzeba by być niedzwiadem o siedmiu zmysłach, żeby wiedzieć wszystko co się dzieje w sercach tych ładnych stworzeń!

I otworzył mi drzwi. Wanda była sama, rzuciła zaraz pędzle i paletę i przybiegła do mnie z wyciągniętymi rękami. Od razu spostrzegłem że płakała, a chociaż w tej chwili twarz jej zarumieniała się znać było że zmierzniała.

— Czekając widać na mnie Wando, rzekłem ująwszy jej ręce.

— Rzeczywiście, a ponieważ przychodzisz w niezwyczajnym czasie, to wiem dla czego przyszedłeś.

— Czyż nie prawda Wando żeś ty im powiedziała?

— Prawda!

Patrzała mi prosto w oczy z owym rzewliwym i gniewliwym wyrazem, jaki już raz w jej spojrzeniu dostrzegłem owego poranku, kiedy w Belwederze wyrwała się z moich ramion, które ją bronić chciały. Wspomnienie to taką mię obawą przejęło, że spuściłem oczy przed wzrokiem dziewczyny. Słyszałem że głęboko westchnęła; kiedyś znowu na nią spojrzawszy, już zniknął ten dziwny wyraz a głos stał się znów łagodnym.

— Chodź! siadaj na kanapie, i pogadajmy roztropnie i chłodno, jak na rodzeństwo przystoi, co teraz robisz?

— A zatem wiedzieli tam od dawna że tu byłem?

— Wiedzieli; byłabym ci wszystko powiedziała gdybyś się był spytał. Ale mała ta tajemnica podobała ci się, chciałeś nie wiem po co grać w schowanego. I ona bawiła się w schowanego, chociaż w każdym liście dowiadywała się o swoim Ryszardzie Lwie Serce, oświadczyłam jej po prostu, że dotąd będę milczeć, dopóki mi się nie zapytasz. Radca rzeczywiście nic nie wiedział, jak sam twierdzi, ale nie trzeba mu zupełnie ufać. Bo że cię tak gorąco pragnie mieć u siebie to niczego nie dowodzi... jesteś mu bardzo potrzebny.

— Domyślam się żeś mu posłała mój projekt?

— Żle zrobiłam, nie prawda? Ależ musiałam tak zrobić kiedyś ty się wahałaś a widocznie cała twoja przyszłość od tego kroku zależy!

— Cała moja przyszłość?

— Trochę mniej i trochę więcej. Widzisz mój drogi Jerzy, jestem dumna z ciebie i wiem że ci tylko na środkach zbywa żebyś mógł zostać niepospolitym człowiekiem. Radca ma te środki, musisz go sobie zobowiązać, bo i o tem wiem, że oddawna ze zwykłą takim ludziom przenikliwością, odgadł w tobie nie zwyczajnego człowieka; w dodatku lubi cię ośobiście a zatem trudno by ci było znaleźć do pokierowania się na świecie szczęśliwszą okoliczność.

— Wyrzucasz mię Wando ze wszystkich dawnych ukochanych stosunków w zupełnie nowe, nieznane, skąd trudno może będzie mi się wydostać a może jeszcze trudniej znaleźć to co opuszczam. Czyś pomyślała o tem? Jeżelibyś pomyślała, tobyś może nie tak łatwo oddalała mię z tych krain!

— Kto ci powiedział że mi to łatwo przychodzi?

odrzekła prędko Wanda, i odwrócona odemnie stanęła przy stalugach.

— Myślałem sobie że przykro ci będzie rozstać się ze mną — jeżeli nie dla ciebie to z powodu matki i braci, dla których mogłem być tem, czem ty dla nich jesteś. Ale byłeś zawsze dumna a dziś masz jeszcze więcej powodów być dumna.

Wanda coś tam przy stalugach robiła; upłynęło kilka chwil zanim mi odpowiedziała.

— Wy mężczyźni jesteście dziwne stworzenia. Wszędzie chcecie mieć udział i przewagę. Samo dobro nie może bez was się przyjąć.

Ale jest to chwilowy tylko kaprys, rozumiem go dobrze....

— A może i nie rozumiesz!

— Kiedy się kogo tak kocha jak my ciebie, toby się go chciało ciągle mieć przy sobie i przykro kiedy go braknie. Ale przecie nie porwą cię na zawsze, napróżno mordujemy biedne serce. Musisz iść w świat szeroki, jak wielki okręt na otwarte morze wypłynąć. Może nas wtedy trochę albo zupełnie zapomnisz, bo mężczyzna mający działać na wielką skalę, musi mieć wolne ręce i myśli, nie może dziecięcej zabawki lub marzenia młodzieńca włożyć z sobą przez całe życie. Chciałabym żebyś w tej chwili pojął mię dobrze, oto pragnę żebyś się odrzucał na świecie tem czem jesteś, żebyś wszystkie siły zebrał na to aby być tym jakim być możesz, i dla tego wszystko i wszyscy muszą przed takim zadaniem ustąpić, i matka i bracia i siostra...

Nie mogłem widzieć jej twarzy, ale czułem że miała łzy w oczach, zbliżyłem się do niej nie odwróciła się. „Wando! wyrzekłem, chciałem jej wszystko powiedzieć, że jeżeli mam na tej nowej drodze utracić ją, to wszelkie powodzenie nie zapłaci mi takiej straty, że... „Wando! powtórzyłem, ale już na kolanach a łzy gorące puściły się z moich oczów, — nie mogłem nic więcej wymówić. Miękką delikatną ręką dotknęła się moich włosów, a głos dzwiczny i rzewliwy zadzwonił nademną:

— Jerzy, bracie mój! nie dręcz tak biednego serca twojej siostry. Wstań i pożegnaj się z matką, wyglądała ona dawno tej godziny. Wie dobrze o tem, bo sama tego doświadczyła, że mężczyzna musi dom, żonę i dzieci porzucić, kiedy idzie o wielką sprawę. Chodź Jerzy!

ROZDZIAŁ X.

Mały wiaterek wiał na mnie, kiedyś okropną drogą jechał od latarni morskiej do Zehrendorfu. Stangret owinął się w derę i siedział zgarbiony, gdy dwa tegie konie z trudnością ciągnęły bryczkę po głębokich wybojach. Była może ósma wieczór, księżyc już wszedł, kiedy niekiedy pokazywał się z za ciemnych chmur, wtedy światło srebrne migało po polach, łąkach, wrzosach i głębokich kopaliskach torfowych.

Jak przedemną, biegały różne zjawiska natury, tak samo we mnie przelatywały wspomnienia radości i bólu, które na tych miejscach przeżyłem. Wszystkie owe dni stanęły przedemną, a taki strach mię ogarnął że odważyłem się tu powrócić, że o mało nie zawołałem na stangreta: Stój! nie pojedę dalej!

— Wkrótce dostaniemy się na górę! odezwał się człowiek i krzyknął na konie. Usłyszał może mój jęk, a stosując go do złej drogi chciał mię pocieszyć.

Rzeczywiście wkrótce dostaliśmy się na górę, wiedziałem o tem tak dobrze jak on. Na lewo świeciły się białe kredowe pokłady w dobrach książąt Próra a na prawo las, ten sam las, w którym celnicy ścigali mię kiedyś jak psy jelenia, a wprost przed nami rozciągało się nieskończone morze. Witaj mi, witaj po tysiąc razy, przyjacielu mój młodości szerokie morze! Tam przedemną leżał Milchow majątek Granowa, a za nim Trantowitz, ziemia Jana Trantowa, a na boku Zanowitz. Ile wspomnień! A wiatr morski dał z całej siły na mnie i mówił: „Wszystko przecierpiałeś i nie upadłeś, i stoisz jeszcze silniej na nogach, i nosisz jeszcze pewniej głowę na szerokich barkach, a to dla tego że cię od młodości kołysał, żeś mną oddychał całymi piersiami.

Jadąc dalej zatopiony w tych myślach, ujrzałem nagle przed sobą nowy zamek zbudowany przez nowego pana na miejscu starego zamku, który się spalił. Nie na miejscu starego, bo stary zamek stał dumnie w ruinach o jednej tylko wieży, a nowy posunął się nieco dalej na równinę, żeby się od morskich wiatrów osłonić.

— A gdzie są ogromne wspaniałe drzewa parku, który aż pod stary dwór podchodził i z lasem się łączył?

— Wycięto wszystkie, odpowiedział stangret, nie byłoby nawet zrobić sobie z czego trumny.

Nie wiem jakim sposobem milczący woźnica dobrał się do tego melancholijnego rezultatu, ale mię nim bardzo poruszył. To samo słowo w słowo powiedział mi kiedyś Dzik i zgadł. Wszystkie drzewa wycięto i na pieniądze zmieniono. Lećcie moje bieguny przed bramę nowego dworu, zajeżdżajcie co prędzej przed ganek, tam służący ze światłem na wyścięgi wybiegną. I wybiegli ale spojrzawszy na moje ubranie, na mój mały tłomoczek i na lichy ekwipaż ostygli bardzo w swojej gorliwości. Jeden z nich nawet, który niósł przedemną mój kuferek, pokazał mi język i wykrzywił twarz brzydko. Dojrzałem to w zwierciadle w przedpokoju, jakby sobie mówił, że to wstyd dla niego nieść takie graty po jasno oświetlonych schodach pałacu pana na Zehrendorfie. Dla ulżenia swojemu oburzeniu rzucił tłomok na ziemię, i na pół obróciwszy się do mnie rzekł:

— Pan zapewne ziomek naszej panny?

— Kto jest wasza panna? zapytałem się niezmiernie uradowany wybrykami służącego dorobkowicza.

— A ta stara skorupa z temi... i zrobił takie poruszenie ręki żem od razu odgadł że mówił o jakichś lokach.

— Zapewne masz na myśli pannę Bête, mój kochany. Jak się nazywasz.

— Wilhelm Klukhun, przez skrócenie po prostu Wilhelm.

— Dziękuję ci bardzo. A dla czego myślisz że jestem ziomekiem panny Bête?

— Bo stara nagadała mi tyle rzeczy o panu, że musisz pan mieć pokój wychodzący na ogród, chociaż to był pokój panny i nie wiem dla czego zamienił go na gościnny pokój. Wyglądało to jakoś niezwykajnie, bo wiedzieliśmy że pan jesteś robotnikiem w fabryce pana radcy, jak to sam dziś przy stole powiedział. I ja jestem z Berlina i wiem przecie, że maszynista to nie żaden wielki mogoł. Ale cóż robić? Musimy tak tańczyć jak stara gra bo inaczej obgada nas przed panną — przed jaśnie panną — a jaśnie panna powie ojcu i wtedy zacznie się zaraz djabelski taniec, że włosy na głowie wstawają.

— A zatem taki tu porządek u was: panna Bête, jaśnie panna, a na koniec pan radca.

— Czasem dzieje się na odwrót, odpowiedział filozof Wilhelm, i wtedy ze starą dajemy sobie radę... jest to wiekuista prawda! Kiedym usłyszał ulubiony frazes panny Pauliny w ustach tego śmiałka, musiałem przygryźć wargi żeby nie parsknąć od śmiechu.

— A właśnie mam się pana zapytać, czy pan nie chce co zjeść? Za pół godziny będzie herbata, ale tam nie ma nic tylko cieniutkie butersznitki djabelnie nie pożywne.

— A właśnie chce mi się jeść, dla tego proszę cię przynieść mi kurczę, lub kotletów a do tego szklanke wina lub piwa... Jeszcze jedno mój przyjacielu. Chociaż panna Bête nie jest moją rodaczką, zobowiążesz mi jednak bardzo, jeżeli nigdy w mojej obecności nie odezwiesz się o tej damie, inaczej jak z należnym dla niej szacunkiem. Teraz możesz odejść, i zapytać się pana radcy, czy mam mu złożyć moje uszanowanie jeszcze przed herbata.

Powiedziałem to wszystkim znaczącym tonem, nie dla tego żeby skarcić mego przyjaciela w liberji, ale że jako gość uważałem to za święty obowiązek. Zartobliwy Wilhelm spojrział na mnie na pół zdziwiony, na pół niedowierzający i może sobie pomyślał, że stare przysłowie nie sądzi z pozoru — jest także wiekuistą prawdą.

Kiedy poszedł spełnić moje żądania, ja tym czasem obejrzałem się po pokoju, który przed trzema dniami był pokojem pięknej dziewczyny. Cuda prawdziwe cuda! Nie wyglądał on wcale na gościnny pokój, a jeszcze dla takiego gościa jak ja. Cała podłoga wyłożona była grubym miękkim w tureckim guście kobiercem. Firanki u okien i portiery adamaszkowe, przyozdobione były kosztownymi sznurami i kwastami. Z tym orientalnym przepychem ślicznie harmonizowały trzy niskie szerokie otomanki; przy oknach w niszach stały małe wygodne krzesła a między oknami przepyszna szafa, wykładana perłową konchą. Na połączonym łańcuchu wisiała na środku lampa, która obok dwóch świec na stole, oświetlała cały pokój miłym różowym światłem. Odsunawszy portierę, ujrzałem w głębokiej

niszy szerokie a niskie łóżko a na niem jedwabne poduszki i kołdrę. Zasunąłem portierę. Każdy się domyśli że mi takie przyjęcie ogromnie zadziwiło. Na szafie z różanego drzewa stał elegancki wazonik ze świeżymi kwiatami. Kiedym się nachylił do nich żeby je powąchać, wpadła mi w oczy wążka wstążeczka uwijająca się między kwiatami, a na wstążeczce wyszyto złotymi literami tę wiekuistą prawdę: Szukaj a znajdziesz!

Chociaż duch mój w obecnej chwili nastrojony był na bardzo poważny ton, przeczytawszy wiekuistą prawdę, zacząłem się śmiać jak warjat, ale jeszcze prędzej umilkłem bom usłyszał czyjs chód za drzwiami. Rzeczywiście wszedł Wilhelm Klukhun i przyniósł na ogromnej tacy rozmaite artykuły, z których na stole przed jedną z otomanek, ułożył przepyszna wieczerzę.

— A kiedy pan radca zechce się ze mną widzieć? zapytałem się Wilhelma, który z serwetą na ręku, stał pełen uszanowania.

— Pan radca będzie miał zaszczyt przyjąć pana inżyniera przy herbacie.

Spojrzałem na niego, żeby mu się lepiej przypatrzeć. Cała jego postawa i ton głosu zmieniły się jak metamorfozy Owidiusza. A jak prędko awansował mię na inżyniera! Musiał tam gdzieś od kogoś usłyszeć coś takiego, co spowodowało tak wielką zmianę w jego pojęciu o szanownej osobie Hartwiga. Nie potrzebowałem łamać sobie nad tem głowy, bo udzielający się łatwo Wilhelm nie umiał ukryć żadnej tajemnicy.

— Jasnie panna nie będzie na herbacie! odezwał się Wilhelm krząknawszy znacząco.

— Nie będzie? odrzekłem obojętnie chociaż serce mocno mi biło.

Tak jest. Byłem właśnie w salonie żeby się zapytać pana radcy, kiedy się z panem zechce zobaczyć. „Oczywiście przy herbacie, chcę go przyjąć w rodzinnem kółku.

„A czy dziś wieczorem nie życzy sobie ojciec sam na sam się z nim rozmówić? powiedziała jaśnie panna, wstając nagle od fortepianu, przy którym śpiewała. „Boże uchoj! Ależ gdzie idziesz? „Idę do mego pokoju, bo od rana cierpię mocny ból głowy.“ „A zatem, jak widzę, nie pokażesz się już dzisiaj? „Jasnie panna nie odpowiedziała bo już przebiegła obok mnie, a miała takie czerwone policzki jak wyłogi mojej liberji: — były jasno ponsowe.

— To wszystko są rzeczy bardzo ważne!

— Tak jest! Tego samego zdania byli i wszyscy inni, to też dziwnie na siebie spoglądali.

— Jacy inni?

— A najprzód pan, potem pannica, chciałem powiedzieć panna Paulina, pan radca skarbowy i pani radczyni.

— To oni są tutaj? krzyknąłem nieprzyjemnie zadziwiony.

— Już od trzech tygodni, i ciężka tam jakaś zachodzi między nimi sprawa — dwoma palcami prawej ręki zrobił znaki poruszenia na dłoni lewej ręki. Wszyscy porobili dziwne miny! pan radca był widocznie zły ale się powściągnął, co nie jest jego zwyczajem, i rzekł: „Szkoda! ale zawsze poprosisz pana inżyniera na herbatę. Apropoz, jak mówimy w Berlinie, przepraszam pana, ale dla czego mi pan zaraz nie powiedział, że pan jest inżynierem?

— Dobrze, dobrze mój Wilhelmie, — teraz sprzątnij a jak będzie czas to mi daj znać.

Kiedy Wilhelm, z całym przyborem do jedzenia wyszedł z pokoju, zerwałem się z kanapy i zacząłem biegać po pokoju niezmiernie wzruszony. Musiało tam zająć coś bardzo ważnego, kiedy nawet na Wilhelmie zrobiło to wrażenie. Dla czego dziś właśnie rozboleła głowa Hermine? Dla czego państwo radzcostwo skarbowi, tak znacząco na siebie spoglądali?

Wszystko to mogłem sobie wytłumaczyć tylko jednym sposobem, bo drugie tłumaczenie nasuwające mi się zdaleka, stanowczo odrzuciła wrodzona mi skromność. Piękna Hermine gniewa się widać jeszcze na mnie, od czasu ostatniego naszego spotkania na parowcu. Gdyby tak było, to dla czego się w listach do Wandy ciągle o mnie wypytowała? Jakże źródło miało jej zajęcie się tak żywe moim losem? Widziałem ją przedemną taką samą jaką była na parowcu: z zacisniętymi ustami i gniewliwym okiem, kiedym jej powiedział że nie chcę żadnej pomocy od jej ojca, właśnie dla tego że jest bogatym. To położenie ciągle trwało. Czyż żądałem kiedy czego od

niego? Czyliż nie przybyłem tutaj po to tylko, żeby bogaczowi udzielić radę, która go dziesięć razy bogatszym uczyni? Nie przyszedłem przecież jak żebrak do tego domu.

— Jeżeli pan raczy, to już czas, odezwał się Wilhelm punkt o ósmej. Przebrawszy się troszkę przyzwoicie ale wcale nie elegancko poszedłem za służącym, który mi z wielką uniżonością wszędzie drzwi otwierał. Minawszy dwa pokoje znalazłem się w obszernym bogato umeblowanym i jasno oświetlonym salonie.

W jego głębi siedziało całe towarzystwo. Kiedym wszedł, radca handlowy powstał z krzesła i z wyciągniętymi rękami zbliżył się do mnie głośno oświadczając, że niezmiernie jest rad mieć u siebie swojego młodego przyjaciela.

— Ależ ja już oddawna miałem cię u siebie. Pół roku, a nie o tem nie wiedziałem. Te dziewczyny nigdy nie będą miały rozumu, zakrywają takie rzeczy, za które między rodzonymi braćmi możnaby zapłacić tysiąc talarów. Te oświadczenia nie pozostawiły mi najmniejszej wątpliwości, że radca wiedział o moim pobycie w fabryce, ale nie chciał wiedzieć dopóki mu własny jego interes nie podszeptnął że mogę mu być bardzo użytecznym.

Ta uwaga sprawiła, że słów pana radcy dosyć zimno wysłuchałem, ale musiałem się rozśmiać i serce mi z radości zabiło, kiedy panna Paulina zajęta właśnie nalewaniem herbaty, nagle postawiła na samowarze imbryczek, spojrzawszy na mnie swoimi wodnistymi oczami, a potem wyciągnęła do mnie rękę, którą serdecznie ale ostrożnie uściśkałem. I miałem słusznąność bo nerwowa dawniej guwernantka a dziś gospodyni, ścisnęła moją z całych sił, żółte loki poruszyły się gwałtownie, lzy pokazały się w oczach, a głos drżący szepnął mi do ucha: Nie martw się i nie gniewaj się na nią! To nie nienawiść ale kaprys dziecięcy. Nie rozpaczaj! Szukaj a znajdziesz!

Zaledwie te romansowe frazesa zdolała skończyć, pan radca wziął mię za rękę i poprowadził do stołu, przy którym siedzieli radca skarbowy i jego żona, urodzona baronówna Kippenrajter, jak woskowe figury.

— Nie uwierzysz jak mój szwagier i szwagrowa ucieszyli się z twojego przybycia, mówił radca handlowy.

— Nieskończenie radzi, jesteśmy, odezwała się pani radczyni patrząc ciągle na lampę.

— Nieskończenie radzi! powtórzył radca wyciągając ku mnie dwa palce których nie śmiałem się dotknąć.

Nie na to nie odpowiedziałem, ale im się ciągle przypatrywałem. Czas pozostawił na nich znaczne ślady swojego wpływu. Czoło pana radcy skarbowego jeszcze bardziej wyłysiało, długa biała arystokratyczna twarz głębokimi pokryła się zmarszczkami, oczy przygasły a usta się rozszerzyły.

Jeszcze srożej obszedł się brutal czas z urodzoną baronówną. Włosy jej wprawdzie zgrubiały i stały się bardzo połyskliwe, ale za drugim rzutem oka było się pewnym, że to włosy od perukarza. Twarz także nosiła na sobie widoczne oznaki, że sztuka usiłowała utrzymać dawną jej świeżość. Wargi uśmiechające się odkrywały dwa rzędy zębów słoniowej białości, a szeroka czerwona wstążka u czepka, zapewne dla obrony zapadłych policzków przycięsnieta do skroni, po dawnemu sykała żądłem i złością.

Usiedliśmy przy herbacie. Pan radca handlowy prowadził rozmowę nie dla ubawienia krewnych, jak mi się zdawało, ale dla własnej swojej zabawy a raczej dla objaśnienia mnie o wielu rzeczach. Owoż do wiedziałem się zaraz, że książę Prora mieszka znowu w swych dobrach Rossow i że przy nim bawi także Artur.

— Jest to najwidoczniejsze wygnanie! Krzyknął pan radca handlowy, — żebyście nie wiem co mówili, wiem to dokładnie od radcy prawnego Heckeppenig, którego stary książę jako swego mecenasa, wezwał na radę familijną, na której szeroko i długo debatowano, czy można pana syna ogłosić za marnotrawcę. Stary książę dał jeszcze synowi pół roku czasu do poprawienia się, a wierzycieli zapłacił. Piękne położenie dla księcia!

— Ukoronowane głowy są rzadko szczęśliwe, jest to wiekuista prawda, odezwała się panna Bête siadając przy nas z robótką.

(d. c. n.)

NATALJA BORISÓWNA DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

WALKA MOŻNYCH.

Dla lepszego zrozumienia mojej powieści, koniecznym jest podać krótki rys historyczny i wykazać w ową epokę stosunki znaczniejszych bojarów z dworem i między sobą.

Piotr Wielki umarł 28 Stycznia 1725 roku. Śmierć Cesarza wywarła głębokie wrażenie na całą Rosję; wówczas dopiero poznano jak wielki był rozum, jak silną ręką, która potrafiła utrzymać w korbach nowo zreorganizowane, lecz jeszcze nie dość do zmian przywykłe cesarstwo.

Ze śmiercią Piotra rozerwała się jedność łącząca wszystkich dostojników. Stawa i korzyści kraju zaniedbane zostały dla osobistych planów. Potworzyły się stronnictwa — nieszczęsny początek każdego zamieszania.

Jedna z partii przejęta duchem wielkiego Odnowiciela chciała wstąpić w jego ślady osadzając na tronie małżonkę zmarłego, Katarzynę, koronowaną jeszcze za życia Piotra. Na czele tej partii stał Mienszykow, do niego przyłączyła się mała liczba magnatów, wszyscy cudzoziemscy oficerowie znajdujący się w służbie, synod, gwardja i flota.

Drugą partję składali zwolennicy praw i zasad starych, którzy chcieli zamknąć Imperatorową z córkami w monastyrze, a przywrócić stare obyczaje, częścią zaś ludzie chcący wprowadzić ówczesny szwedzki ustroj rządu, to jest ograniczyć władzę monarchy władzą stanów państwa i senatu.

Ci żądali obioru małoletniego Wielkiego księcia Piotra Aleksiejewicza. Na czele stali Dołgorukowie i Golicynowie.

Pierwsze stronnictwo odniosło zwycięstwo.

Katarzyna I wstąpiła na tron, a władza Mienszykowa doszła do najwyższego stopnia.

Rozliczne łaski jakie doświadczał od Imperatorowej nie mogły, ani zadowolić próżności, ani nasycić chciwości księcia Iżorskiego. Potęgą jego z każdym dniem wzrastała, ale jednocześnie wzrastała i nienawiść przeciwnych mu, znakomitych bojarów, którzy nie mogli darować ulubieńcowi Piotra, ani niskiego pochodzenia, ani ogromnej władzy jakiej używał.

W czasie nieobecności Mienszykowa, jego przeciwnicy zmówili się, aby go pozbawić łaski Imperatorowej. I powiodło im się... Ukaz o wzięciu Mienszykowa pod straż w powrocie, był już podpisany, upadek kniazia Iżorskiego zdawał się nieuchronny...

Ale i tu jeszcze szczęście nie opuściło swego ulubieńca, odniósł on tryumf nad wrogami a następnie srogo się zemścił.

Mienszyków stanął silniej, wzniósł się jeszcze wyżej. Starsza jego córka, Marja, była przeznaczona na żonę następcy tronu Wielkiemu Księciu Piotrowi Aleksiejewiczowi.

Dwa lata panowała Katarzyna I, po jej śmierci wstąpił na tron wnuk Piotra Wielkiego — Piotr II. Wówczas stanowczo cała władza przeszła w ręce Mienszykowa, tym więcej że młodzieńcy Cesarz liczył dopiero lat 12 i miał ustanowioną opiekę.

Szczęśliwy Mienszyków przypomniał sobie o wrogach i przeciwnikach a ciężka kara dosięgła nieszczęśliwych.

W liczbie najłagodniej ukaranych był młody kniaz Jan Aleksiejewicz Dołgoruki, który zajmie jedno z pierwszych miejsc w mojej powieści.

Jan Aleksiejewicz był skazany na oddalenie się od dworu i wysłany do armji, z obniżeniem jednego stopnia. Lecz i z młodego Cesarza, wzruszyły Mienszykowa, który nieprzewidując w piętnastoletnim młodzieńcu niebezpiecznego współzawodnika, pozwolił kniazowi Janowi zostać przy dworze i żyć nie rozdzielnie z Cesarzem.

To właśnie było zgubą Mienszykowa.

Dołgorukowie pałając żądzą pomśzczenia się, wybrali młodego kniazia Jana, za narzędzie zemsty. Bezustannie nauczali go co ma mówić z Cesarzem

jak w poufalach rozmowach najniekorzystniej przedstawiać nienasyconą chciwość i nieograniczone samowładztwo kniazia Iżorskiego, a głównie jak ujawnić jego dążenie, do połączenia swego rodu z cesarską familją.

Usiłowania te działały skutecznie, ale potęga Mienszykowa tak była jeszcze wielką, iż niepodobieństwem było przedsięwziąć coś stanowczego przeciw niemu.

W 1727 roku 26 Maja, odbyły się uroczyste zaręczyny Cesarza z księżniczką Marją Aleksandrówną Mienszykową. Ojciec jej był niewymownie uszczęśliwiony, choć wiedział że młody Cesarz nie miał najmniejszego uczucia dla swej narzeczonej. Wszyscy zauważyli, że podczas uroczystości zaręczyn, Piotr ani razu nie spojrzał nawet na narzeczoną.

Wiedząc jak znaczną była liczba jego wrogów, przyszedł też Cesarz, nie zaprzestał używać wszelkich sposobów, aby na zawsze utrwalić swoją władzę.

Śmiało zmienił on ustroj rządu, ustanowiony przez zmarłą Imperatorową na czas małoletności cesarza, a nawet usunął opiekę. Chcąc mieć młodego monarchę bezustannie pod swoimi oczami kniaz Iżorski, w tydzień po zaręczynach, przewiózł Piotra do swego domu i starał się otoczyć go, przychylnymi sobie ludźmi.

Wszystkie te zabiegi były nadaremne, gdyż Mienszyków, zaślepiony powodzeniem, nie przypuszczał bynajmniej, że najgroźniejszy jego nieprzyjaciel, znajdował się najbliżej cesarza.

Dołgorukowie nie zaprzestali działać przeciw najpotężniejszemu magnatowi, młody kniaz Jan, idąc za namową krewnych, nie opuszczał żadnej sposobności, do oczernienia w oczach Cesarza, nienawistnego im Mienszykowa.

Piotr II słuchając podszeptów i tłumiąc w duszy niechęć, oczekiwał tylko stosownej chwili ażeby ukarać Mienszykowa. Ten ostatni przez własną nieostrożność i dumę, sam wkrótce nasunął sposobność, ku swęj zgubie.

Petersburgscy kupcy ofiarowali Cesarzowi 9,000 czerwonych złotych. Chcąc zrobić przyjemność, swojej ukochanej siostrze, Wielkiej księżnie Natalji Aleksiejewnie, Piotr II posłał jej te pieniądze w podarunku.

Mienszyków śledzący wszelkie czynności Piotra zatrzymał posłańca:

— Cesarz zamłody jeszcze, rzekł kniaz Iżorski, nie zna wartości pieniędzy, odnieś je do mnie, ja sam rozmówię się z Cesarzem.

Posłaniec nie śmiał się sprzeciwić.

— Na drugi dzień, Wielka księżna przybyła, jak zwykle, odwiedzić brata.

Po krótkiej rozmowie Piotr zapytał:

— Czyż wczorajszy podarunek nie wart jest, podziękowania?

— Jaki podarunek? zawołała Natalja Aleksiejewna.

— A dziewięć tysięcy czerwonych złotych, które ci posłałem?

— Ja nie odebrałam.

Piotr II rozkazał zasięgnąć wiadomości. Wieść o postępkach Mienszykowa stała się głośną na dworze, a kniaz Jan otrzymał już radę, jak należy postąpić w tym wypadku.

Podburzony przez swego ulubieńca Cesarz, rozkazał natychmiast przywołać Mienszykowa.

— Jak śmiałeś zatrzymać mojego posłańca i zabrać mu spełnić moje polecenie? Zapytał Piotr a oczy jego pały gniewem.

— Najjaśniejszy panie! odpowiedział kniaz Iżorski zmieszany, kraj potrzebuje pieniędzy, kassa wyczerpana, a ja zamierzałem dziś przedstawić projekt użycia tych pieniędzy z większym pożytkiem...

— Nie twoja rzecz wyrokować o moich postępkach.

— Rozkaz najjaśniejszy panie, a ja natychmiast wydam nie tylko te 9,000 dukatów, ale dodam jeszcze własnych milion rubli!

Pokora Mienszykowa rozbroiła gniew Cesarza, ale przypomniał sobie podszepty Dołgorukich niecierpliwie tupnął nogą i zawołał:

— Ja cię nauczę że jestem Cesarzem, a ty winieś mi posłuszeństwo!

Z temi zapewne narzuconemi słowami, Piotr odwrócił się i wyszedł z komnaty.

Udało się raz jeszcze Mienszykowi ułagodzić gniew Cesarza, ale wkrótce nagle i niebezpieczna choroba kniazia, oddaliła go na dłuższy czas od dworu i spraw

państwa. Korzystali z tego jego nieprzyjaciele i starali się usilnie, aby ostatecznie zgubić chciwego władzy magnata, który po powrocie do zdrowia sam niezwłocznie stał się pierwszą przyczyną swojego upadku.

Przy poświęceniu cerkwi, założonej przez siebie w Oranienbaumie, kniaz nie mógł doczekać się przybycia Cesarza, którego Dołgorukowie i inni namówili aby nie przyjął zaproszenia, w obawie nowego zbliżenia się przy widzeniu i w ogóle wpływu Mienszykowa.

Ten ostatni nie przewidując wcale grożącej mu burzy, zapomniał się do tego stopnia, iż w czasie poświęcenia cerkwi, zajął miejsce, urządzone w kształcie tronu, dla Cesarza.

Natychmiast o tem doniesiono i od tej chwili Mienszyków stracił wstęp do dworu. Następnie otrzymał polecenie, aby się nie zajmował sprawami państwa, a nawet nie wydalał z domu, bez dalszego rozporządzenia.

We dwa dni potem, kniaz Iżorski otrzymał rozkaz wyjazdu do miasta Oranienburga, które sam założył w teraźniejszej Rjański gubernji.

Nie było już ratunku... Mienszyków wyjechał z całą swoją rodziną. W Twierze nowy cios go dotknął, opieczetowano wszystkie jego rzeczy, pozostawiając mu tylko, co niezbędnie potrzebne.

Kniaz Iżorski, nie zdążył jeszcze osiedlić się w Oranienburgu, gdy przybył do niego urzędnik dla wyprowadzenia śledztwa, a nakoniec najpotężniejszy i najmocniejszy w Rosyi bojar — wysłany został, do Berezowa w gubernji Tobolskiej.

Żona jego, straciwszy wzrok od ciągłego płaczu, umarła w drodze do Syberyi; ukochana córka, księżniczka Marja Aleksandrówna, niegdyś naręczona Cesarza, umarła w Berezowie na ospę.

Wpółśród tylu klęsk i nieszczęść Mienszyków okazał się godnym wybrańcem i ulubieńcem Piotra Wielkiego. W szczęściu zaślepiony pychą i żądzą bogactw, w niedoli okazał istotnie wielką duszę.

Odłączony od całego świata, wśród lodowatych pustyń Sybiru, niegdyś pierwszy w Rosyi magnat, nie narzekał na swój los — a podającemu się z uległością, pokrzepiał ducha w dzieciach swoich.

Ten który niegdyś sprzedawał bliny, a następnie był najpotężniejszym magnatem i zajął znakomite stanowisko, w najświetniejszej epoce historii Rosyi zakończył swoją ziemską pielgrzymkę, na wygnaniu jak nędzny przestępca!...

Dziwnie bo igra los z ludźmi!

Niekiedy, patrząc na córki, Mienszyków wspominał dawną swoją potęgę, dawne wspaniałe plany i dawne świetne nadzieje i w skrytości przelewał łzy gorące... gorzkie...

Lecz smutek jego nie trwał długo i poddając się z pokorą woli Najwyższego — znośił spokojnie swoją niedolę.

Ziemia Syberji pokryła zwłoki magnata ulubieńca Piotra, mądrego i czynnego człowieka, który przez ćwierć wieku tryumfował nad wszystkimi intrygami dworskimi, — a w końcu stał się ofiarą przebiegłości piętnastoletniego młodzieńca.

(d. e. n.)

KILKA NOWSZYCH NIEMIECKICH POWIEŚCI

ZE WZGLĘDU ICH STOSUNKU

ZE STANEM SPOŁECZEŃSTWA.

(Dalszy ciąg.)

Całkiem innego rodzaju i o wiele mniej poważne obudzają w nas myśli powieści Lewina Schücking, jakkolwiek i w nich dostrzegamy wpływy współczesnych zaprzątnień i sporów duchowych. Opowiadania te pełne powabu, jak bądź nie posiadają tych wysokich zalet pomysłu, języka i stylu które cechują utwory Auerbacha. Znać w nich sumienną pracę człowieka, który nie szuka głośniejszej sławy, ale wytrwale idąc raz wytkniętym torem, koniecznie musi słusznego uznania pozyskać. Obrazy jego pełne skądś uroku, ożywionego bogactwem wyobraźni, umiały mu zdobyć zaszczytne miejsce w niemieckiej

literaturze. Nie ma tam wprawdzie wyższych filozoficznych rozumowań, ale jest myśl zacna i trzeźwa, zawsze z wdziękiem wyrażona. Jedyna słaba strona zdolności tego pisarza jest może sama budowa jego powieści, których plan o tyle bywa wadliwy, że nieraz odrywa uwagę, od głównej treści, mniej lub więcej długimi zboczeniami. Co prawda, ustępy te bywają zajmujące, znać że ani o pomysł, ani o kształty dla niego autorowi nie trudno, ale też łatwość owa bywa mu często matnią, której nie umie uniknąć. Jednym słowem, o ile powieści jego są poczytne, o tyle założenie ich bywa niekiedy trudne do odszukania pośród rozlicznych zakrętów, które autor wieździe czytelnika.

Powieść nazwana *Rozstajne drogi*, posiada tak zalety jak i wady wyżej wzmiankowane. Pomysł to całkiem dziwny zaprawdę. W starym zamczysku, gdzieś w górach pośród lasów głębi, poznajemy dwóch braci, hrabiów Andrzeja i Maksa Schönhausen. Wspólne upodobanie zbliżyło chwilowo tych dwóch ludzi całkiem odmiennego usposobienia. Obaj są myśliwi, a właśnie pora polowania się rozpoczęła. Hrabia Andrzej jest natury gwałtownej i namiętniej, Maks więcej posiada spokoju, a może też tylko lepiej umie nad sobą panować. Dwaj bracia nie lubią się nawzajem, Andrzej jako starszy, ordynat a zatem pan zamku i włości rodzicielskich, wypłaca corocznie Maksowi małą kwotę stanowiącą cały jego dochód. Przez cały rok, żyją z daleka od siebie, ale jesienią pora sprowadza ich do starego zamku lasami otoczonego. Pewnego dnia o świcie, dwaj hrabiowie wybrali się na polowanie. Towarzyszący im leśniczy, nie zbyt jasno widząc wśród rannej pomroki, dopuszcza się jakiejś niezręczności, czem zniecierpliwiony Andrzej rzuca mu w uniesieniu słowo obelżywe. Pokrzywdzony sługa hardo podnosi głowę, ma bowiem w ręku pomstę gotową. „Ostrożnie, mój panie powiada — nie zapominaj że wiem gdzie i kiedy poślubiłeś kobietę, której głośno za żonę przyznać nie możesz.“ Wściekłość ogarnia hrabiego, bezprzytomny od gniewu spuszcza lufę od strzelby i dwa strzały padają w samą głowę leśniczego. W chwilę potem, Andrzej kłęczy przy zwłokach swjej ofiary, wołając z rozpaczą: „Boże, ulituj się nademną!“ Maks zaś, zrazu osłupiały przerażeniem i zgrozą, niebawem odzyskuje przytomność i przemawia w rozkazujący sposób do brata: „Popełniłeś zbrodnię której wykrycie wieczną hańbą okryje nasze imię, a ciebie zawieździe na rusztowanie. Tego nie dopuszczę dopóki mi życia stanie. Ale jeden tu tylko środek ocalenia. Zmarły był tego samego wzrostu co ty i włosy miał czarne jak twoje, rysów zaś jego ani podobna już rozpoznać. Pomieniał z nim odzienie, odpiął do Ameryki, a tymczasem wieść się rozejdzie że hrabia Andrzej Schönhausen został przypadkowo zabity na polowaniu przez swego leśniczego, który zrozpaczony i przejęty trwogą po tym wypadku uciekł i przepadł bez wieści. Andrzej poddaje się temu wyrokowi, zamiast na miejsce, poczem ratuje się ucieczką. Zostawiając mu nieco czasu, Maks wraca do zamku, opowiada z rozpaczą co zaszło, zwołuje służbę, każe szukać zbiega właśnie w stronie gdzie go nie ma, — słowem odgrywa wybornie swoją rolę. Wszystko kończy się pomyślnie. Po wspaniałym pogrzebie, ziemia zakrywa zwłoki mniemanego Andrzeja Schönhausen. Ale cóż się tymczasem dzieje z prawdziwym hrabią? Oto podczas gdy brat jego obejmuje w posiadanie jego miejsce i stanowisko, on dostawszy się do Ameryki żyje nędznie ze sprzedaży ubitej zwierzyny. Osamotnienie spotęgowało wrodzoną jego gwałtowność. Nienawidzi świata całego, a w szczególności własnej rodziny i w nieszczęściu swem nie widzi skutków własnego występku. Ci których traf zbliża z tym dziwnym wychodźcem, dostrzegają w nim cechę arystokratycznego pochodzenia. Uważają także że chętnie ukrywa swą mowę rodzinną. Stopniowo handel jego idzie coraz pomyślniej, sprzedaj futer przynosi mu większe zyski i wprowadza go w stosunki z nadbrzeżnymi handlarzami. Po pewnym czasie, zjawia się przy nim młody chłopak żywy i bystry, rozwijający się swobodnie wśród tego życia pracy i przygód. Jest to jego syn, którego sprowadził z Europy, aby go wychować po swojemu.

Takim jest prolog powieści. Treść jej dalszą stanowi umysłowe wyrobienie młodego Hugona. Tylko

że prolog ów zajmuje dobrą połowę książki, treść zaś napotyka dopiero ku końcowi. Około jej wątku nasnuł autor niewiedzieć ile nici, najrozmaitszej powikłanych, niewiedzieć ile dodał ustępów z których niejeden starczyłby na stworzenie całej powieści. Są tam dzieje hrabiego Maksa i córki jego Geraldyny, ustęp o młodym nauczycielu Hugona, ubogim szlachciem zakochanym w Geraldynie, jest także historia dwóch niby żon hrabiego Andrzeja. Związany bowiem uroczystym przyrzeczeniem z panną Hangfort, matką Hugona, niemniej poślubił potajemnie dziewczynę z ludu, Otylię Ramborg. Napotyka tam także opisanie dwóch domów handlowych, których obroty są zaprawdę całkiem nowego rodzaju. Bankier bowiem znajdujący się w nader trudnym położeniu, spłaca dług swój odstępując córcie wierzyiciela, narzeczonego własnej córki. Zbyteczną nieco oryginalność tego pomysłu, okupuje żywa ironia i lekkość pędzla cechująca ów ustęp. Jednym słowem, wzruszające zdarzenia i pocieszne przygody krzyżują się i potracają w tej książce, której trafnie obrany tytuł nasuwa myśl, że w tym razie autor chciał być może samemu sobie krytykiem.

Główną treść powieści stanowi, jak to już powiedzieliśmy, wychowanie młodego Hugona, szczególnie zaś wrażenia młodzieńca wyrosłego wśród puszczy samotnych w zetknięciu ze światem cywilizowanym, kiedy go los znów do Europy sprowadza. Zadaniem autora było tu jak się zdaje dowieść bytności istot natury jednolitej i prawej, które pomimo wychowania wpływów od życia tylko czegoś się nauczyć mogą: „Nazywam ludzi takich *samoistnemi*, powiada, mówiąc poniekąd o sobie, Emil Hattstein, nauczyciel Hugona, — inni, dodaje z pogardą — a tych liczymy na setki, dają się zrobić w rękach, które ich kształcą, ale *samoistny* sam się wyrabia w szkole życia i pod losu ciosami.“ Jesliby zaś kto sądził że nie zawsze życie szkołą udoskonalenia bywa, Lewin Schücking mu odpowie, że kto się złemu dał opanować i z siły ogołocić, ten nie wart był niczego lepszego. Zasadę tę wygłasza z zapalem Emil Hattstein temi słowy, w rozmowie której urywek tu przyłączamy:

— „Wniosłem tylko i bogate dusze nazywam *samoistnemi*. Po tem je można poznać że życie coraz je wywyższa, że siła ich wewnętrzna zapewnia im zwycięstwo w walkach, i że w każdym rozbiściu umieją się ocalić potęgą woli i bystrością rozumu.

— Czy w każdym? spytała Otylia z bolesnym uśmiechem.

— W każdym. Wierzę w to niezachwianie.

— Jeśli tak jest, to jakże mało mamy podobnych bohaterów.

— Nie przeczę temu że ich mało.

— Surowy z ciebie sędzia, panie Hattstein. Według ciebie, każdy kto upadł w walce, był koniecznie małym. A jednak, czyż mało waży w naszym życiu szczęście i nieszczęście? Wszyscyśmy nie czem innem jak losu igraszką, wszyscyśmy przerzucani tu i owdzie skutkiem tajemniczej gry wypadków, podobni do tych lekkich zabawek które rzucone na wodę, podskakują na fal grzbiecie i znów w nie padają stosownie do siły prądu, który nimi miotają. Ani energia woli, ani bystrość rozumu, nie obejdą się bez pewnej miary szczęścia, bez której najsamoistniejsza dusza nie zdoła uniknąć rozbiścia.

„Emil Hattstein pokiwał głową. Szczęście, — odrzekł — to powiew wzdymający żagle tuzinkowych istotności. Ci których nazwałem *samoistnemi*, szczęścia nie potrzebują.“

Jest w tej zasadzie pewna duma szlachetna, której radziłyśmy znaleźć usprawiedliwienie w dalszych losach młodego Hugona. Ale ta właśnie część opowiadania wyszła autorowi najslabiej. Rzeby można iż wyobraźnia jego wyczerpała się w zręcznych powikłaniach i żywym obrazowaniu wstępu, tak iż napotykały tylko szkice słaby tam gdzie wyczekiwaliśmy samego jądra powieści, to jest w opisie lat życiowej nauki Hugona. Urodzony z ojca niemal wykreślonego z świata żyjących i z matki jak najniezwyklejszej, niepewien własnego nawet nazwiska, młodym ów ukazuje nam się w postaci istoty podobnej w swem osamotnieniu do liścia, który lada wichur z sobą zabiera. Zład w nim smutek, którego nie zdołają uleczyć nawet czule starania dawnego nauczyciela. Zadaniem autora było tu wykazać w jaki sposób Hugon

przychodzi po przezwyciężenia w sobie ponurę rozpacz i do pogodzenia się z życiem. Takim jest wyraźnie założone dzieło, ale wykonanie tylko mu w części odpowiedziało. Opisy podróży Hugona po Włoszech i Francji i miłosne jego przygody nastrojały jednak autorowi niejedną sposobność nakreślenia pełnych zajęć obrazów. Łatwo odgadnąć że miłość tylko, miłość otoczona niebezpieczeństwem i opromieniona poświęceniem, zdolna jest rozbudzić w duszy młodzieńca siły prawie już zamarłe. Czemuz raczej na rozwinięcie tego zadania autor nie zachował wszystkich zasobów inwencji i wdzięku które tak hojnie szafował u wstępu swjej powieści?

Jednym słowem pomimo piękności szczegółów, należy uważać ten utwór za niedojrzały z tego powodu, iż mu braknie planu wyraźnie obmyślonego i dokładnie przeprowadzonego.

d. c. n.

Od Redakcji.

Z upływem bieżącego miesiąca kończy się Prenumerata na Tygodnik Młód kwartału drugiego r. b. Przypominając o tem upraszamy o wczesne przesyłanie należności prenumeracyjnej, gdyż jedynie tym tylko sposobem dalsze odbieranie naszego pisma, bez żadnej przerwy może następować.

Warunki prenumeracyjne pozostają te same a mianowicie:

w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop 80, z przesyłką pocztową Rs. 2 kop 50.

Przyjaciel Dzieci. W kwartale trzecim b. r. pod temi samymi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Upraszamy o przysyłanie należności prenumeracyjnej wprost pod adresem redakcji, gdyż to jest najpewniejszy sposób odbierania pisma naszego bez najmniejszej przerwy. Prenumerata wynosi:

w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 35.

z przesyłką pocztową rs. 1 „ 75.

Na bieżący tydzień przygotowano formę trenu przypinanego do kostiumu i okrycia kaszmirowego.

Korespondencja.

Pani A. S. Od kupna nut pozostaje w Redakcji kop. 57.

Pani Emilji Tu. Świat muzykalny może być tylko rocznie prenumerowany za rs. 4. Grammatyka Kopczyńskiego wyczerpnięta.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawy, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszy z drzeworytami.

**Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego
dołączonego do N. 22 Tygod. Mód.**

N. 25 i 32. Koronkowy kołnierzyk z mankietami.

Kołnierzyk ten podobny do irlandzkiej koronki, przedstawiony jest w naturalnej wielkości pod N. 32 (naróżnik). Gesty brzeg liści z batystu, spaja się przez środek luźno odrobionym szydełkowym ścięciem i pajęczkami. Podług prostej linii dolnej, leżąc od narożnika N. 32 wszystkie liście w jednakowej wielkości, odrabiają się z prostego kawałka batystu; 20 takich liści formuje brzeg kołnierzyka z zaokrąglonym wykończeniem szyi szydełkiem odrobionym, jak to N. 25 na figurze wyłożony wskazuje. Chcąc zrobić kołnierzyk z wykładanymi rogami, wykończenie zostawia się zupełnie proste, a haft różków daje się na wyłożeniu. Żeby się niewyciągały, trzeba żeby liście wywiesić bawełną cieniątką podwójnie i wydzierać. Żyłki środkowe liścia robią się z przezroczystych zwyczajnie obszytych oczek, boczne dają się długim ścięciem, albo kordonkowym. Zewnętrzny brzeg tego ładnego kołnierzyka, ozdabia się koronkowymi pikotami. Tło szydełkowe przy dokładności ryc. 32 kilku zaledwie objaśnień wymaga; dodajemy więc tylko, że szydełkowa robota między trzema liśćmi 1 pow. oczkiem spojeniem, zaczyna się od potrój: i poczwórnych słupków, ku środkowi, idzie łańcuszek od którego na obie strony rozchodzą się mniejsze listki, przyczepiane do żyłek ataskowego liścia. Po 5 pow. ocz. stanowiących korzonek małego listeczka, nitką się zamocowywa.

N. 26. Staniki pod szyję i uczesanie dla młodych panienek.

Krój na lat 12 — 16 na dodatku N. I fig. 1—3a. Na formie zwykłego stanika pod szyję, widzimy pod ryc. 26 przód stanika z materiału w pasy, ubrany ukośnymi pliskami. Trzy podobne pliski w równych odstępach, naszywają się na spodnicy; końce kokardy z tyłu ubrane są także pliską. Wszystkie pliski 2 cent. szerokie przyszywają się z wypustkami. Plecy stanika ryciny 27 przedstawiają garbunek w rodzaju szelk ozdobionych w około plisowaną falbanką, 3 cent. szeroką; pliska wymaga ciemniejszej wypustki. Te same pliski, formują niby gorsecik między szelkami, kokardy dają się z materiału sukni. Spodnica naszywa się dwoma lub trzema podobnymi listewkami stopniowanej szerokości.

N. 28. Bluzkowy staniczek dla panienki.

Krój fig. 1 — 3.

Mały format fig. 1—3a staniczka pod szyję dodany do ryc. 26 — 27 łatwo objaśnia jak taką bluzkę przyrządzić. Złożysz boki z plecami, otrzymujemy szerokie plecy bluzkowe; wykończenie trzeba naturalnie zmniejszyć, żeby nie był tak głęboki. Do pleców takich przyszywają się przody zaszelekami opatrzone, w których szew boczny także szerzej wypada. Model z niebieskiego kaszmiru, ubrany jest białą gipiurą, czarną aksamitką podłożoną. Gipiurę zastąpić można także frywolitkami, irlandzką koronką itp. Włosy zczesane do góry, spletają się w warkocze krzyżujące się na czubku głowy, cokolwiek spuszczone po za uszami.

N. 33. Kwadrat siatkowy.

Na kwadracie siatkowym 40 cent. dużym, o 63 oczkach z każdej podłużnej strony, rachując z narożnym oczkiem wyszywa się przedstawiony deseni, grubą bardzo bawełną; między deseniami odrobione ścięgi cieniątkiej bawełny wymagają.

N. 35—44. Szlaczki do ozdoby bielizny.

Polajemy kilka rozmaitych szlaczków do bielizny które przy pomocy maszyny bardzo szybko dadzą się wykonać.

N. 1—3. Podróżne ubrania.

N. 1. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka z żółtawo-popielatego „toile-déte“ ubrana falbanką, żółtą kaszmirową frendzlą i pliskami w żółte i brązowe kraty; to wszystko uzupełnia kaftanik rozcinany z tyłu z marynarskim kołnierzem i szerokimi wykładami na rękawach. Słomiany kapelusik brązowy przybrany rurszą ze wstążki tegoż koloru i piórem czarnym. Pończochy w kratki brązowe i wysokie skórkowe buciki dopełniają całości ubrania.

N. 2. Kostium z jedwabnym paletotem.

Suknia ze stanikiem pod szyję i tuniką z fularu w pasy brązowe w dwóch cieniach; dół spodnicy zdobi falbana jednokolorowa, naszyta pliskami ukośnymi i falbanką faldowaną. Tunika skrajana jak zwyczajna spodnica podpinana się w samym tyle. Stanik z jednokolorowego materiału, pliskami przybrany pokrywa jedwabny krótki paltocek z falbaną w zęby. Brązowy słomiany kapelusik girlandką pawich piór do połowy opasany, z dużym koguciem piórem i gazowym woalem uzupełnia kostium.

N. 3. Kostium „Waterproof“.

Kostium ten z nowych szalowych materiałów z wra-bianą frendzlą i ciemniejszym szlakiem, szczególnie używa się do podróży. Gładką spodnicę zakończy 20 cent. wysokie plisowanie, szeroką pliską przytwierdzone. Wy-

lusz ozdabiają aksamitne pukle, polne kwiaty i szarfę z erépe de chine.

N. 4. Okrągła serwetka.

Siatka i haft ataskowy.

Materiał: Cienki muslin, bawełna do haftu N. 60, kónopne nici N. 80, linijka do siatki 2 cent. szeroka i 1 drewniany drut.

Nielicząc siatkowej 4 cent. szerokiej koronki, serwetka ta wymaga 40 cent. średnicy: środek zajmuje 14 cent. duży siatkowy kwadracik, resztę wypełnia muslin, ataskiem zahaftowany. Rodzaj haftu i koronkowe ścięgi pączka róży, dwoma gatunkami nici odrobione przy dokładności ryciny nie potrzebują objaśnień; powiększenie deseni nie jest również bardzo trudnem. Środek siatkowy jako kółko lub kwadrat, przytwierdza się okrętką na muslinie przykrajany w całości. Grube kropki, gęsto na tle siatki obwiedzione bawełną, wydają się jakby ataskowe, żeby się lepiej wydaly oczka siatki robią się najniżej u drewnianym drucie. Gęsto obrzucony brzeg serwetki, obrabia się najpierw 1 rzędem przezroczystych słupków, obliczwszy równe odstępy, zaczyna się robić od jednego słupkowego oczka ząb siatkowej koronki, wymagający 18 powietrznych oczek w kółko 1 ściślem oczkiem zebranych. Koronka siatkowa odrabia się z podwójnie złożonych nici. W pierwszym rzędzie w każdym szydełkowym kółku wrabia się na szerokiej linijce 12 siatkowych oczek; kółko szydełkowe obdziergane wyszywa się u góry ataskowym pęczkiem. Pojedyncze oczy w zagłębieniach zębów, zahaczają się o brzeg szydełkowy; trzy rzędy na drucie odrobione zakończają koronkę. Ostatni rząd, obrabia się ściś: szydełkowymi oczkami.

N. 5. Listewka z kokardą do kostiumu N. 15 w N. 22 Tyg. Mód.

N. 6. Stanik z karoczką do kostiumu N. 15 w N. 22 Tyg. Mód.

N. 7 — 8. Chińska poduszeczka do śpiłok. Wschodnie wyszycie.

Materiał: Biały rypś, pasowa materia lub aksamit; kordonek i jedwab, złoty sznurerek. Krój na dodatku N. XVII Fig. 41.

Model ten ozdobiony kolorowymi jedwabnymi kwastami i sznurkiem 24 cent. obwodu mający, składa się z 12 pojedynczych wyszytych z wierzchu trójkątnych poduszek, które się w gwiazdy układają. Na każdą wypchaną watę kraje się dwie części pasowe podług fig. 41, złączone z trzecią podług N. 8. W ten sposób ażeby czerwone strony przypadły do siebie, służące jako podstawa do wierzchniej okrągłej części. N. 8 wskazuje w naturalnej wielkości wschodnie wyszycie wierzchniej części białej z odrobionym deseniem żółtymi luźnymi ścięgami. Wszystkie 12 poduszek dotyczą się spiczastymi końcami, jak to przy zeszywaniu skórkowych pilek widzimy.

N. 9. Włózkowe kwiaty.

Kamelja.

Krój na dodatku N. XV Fig. 55—65.

Materiał: Kastorowa włóczka w dwóch pasowych cieniach; pięć cieni świeżej zieloności i drzewnego koloru, cienki drucik, gumma arabska. Niedawno podane formy na liście papierowej kamelji, służąć mogą zarazem i na włózkową, której robota większej może zręczności wymaga. Świeży kwiat kamelji, o który w tej porze niestety, najlepszym będzie tu wzorem i przewodnikiem. Liście kwiatu mieszane są z dwóch pasowych cieni, kielich i zwyczajne liście, odznaczają się najrozmaitszą zielonością. Naśladowując naturę, kielich kwiatowy składa się z podwójnego rzędu zielonych liści; liście kwiatu przykrawają się jako środkowe, podług Fig. 60



Ubrania podróżne.

N. 1. Ubranie dziewczynki.

N. 2. Kostium z paletotem jedwabnym.

N. 3. Kostium „Waterproof“.

godne okrycie przykrawa się podług ryc. 21 w N. 18 Tygodnika Mód podany, tylko nie tak długie i z rozporkami w bocznych zeszytach. Plaski słomiany kape-

na zewnętrzne podług Fig. 61. Kulki waty z konieczne u papierowej kamelji, nie mają tu zastosowania bo nągumowane liście i tak są jeden dla drugiego dostatecznie sztywną podstawą. Cztery pasowe listeczki, na siebie brzegami zlepione, w górze cokolwiek rozwarłe podług Fig. 59 i drugie cztery podług Fig. 58 jako zielone wewnętrzne stanowią pełny, piękny pączek. Korzonek każdego zielonego liścia, obwija się zielonym jedwabiem; do grubego korzonka gałązki, przymieszać trzeba brązowego jedwabiu, przez co się lepiej naśladuje kolor drzewa. Brązowe korzonki należy pociągnąć rozpuszczoną gummą.

N. 10—11. Dwie wstawki siatkowej gipiury.

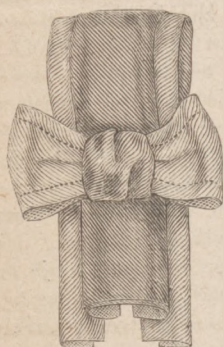
Obie wstawki kolorowo podwlekane albo też białe, stanowią piękny garnunek do bluzek, poszewek, dzieciennych napiersników i kaptaników rannych. Każdy deseń zakończyć jeszcze można rzadkiem dzierganych pikotów, jak to rozróżnić można na rycinie 11.

N. 12. Koszulka z ramiączkami dla dziewczynki do 4 lat.

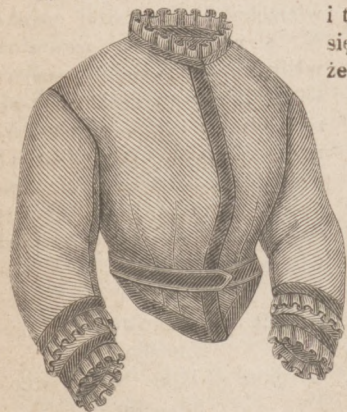
Krój na dodatku N. VII F. 22.

Praktyczny krój powyższej koszulki, zaleca się szczególnie szybkim wykończeniem, bo razem ze stanem z jednej szerokości podług Fig. 22 przykrojone ramiączki, zszywają się razem krytym szwem na bokach. Ramiączka zapinane na guziki wymagają 1 cent.

szerokiego obwódka. Od gwiazdki środkowej zmarszczona każda połowa, stanu mająca 27 cent. długości obejmuje się 1 i pół cent. szerokim prostym paseczkiem, który oszyć można frywolitkowym brzeżkiem albo koroneczką.

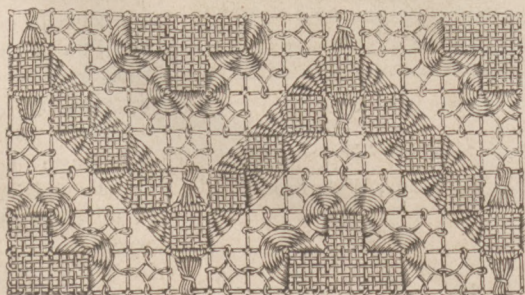


N. 5. Pliska z kokardą do kostiumu 15 w T. M. N. 22.

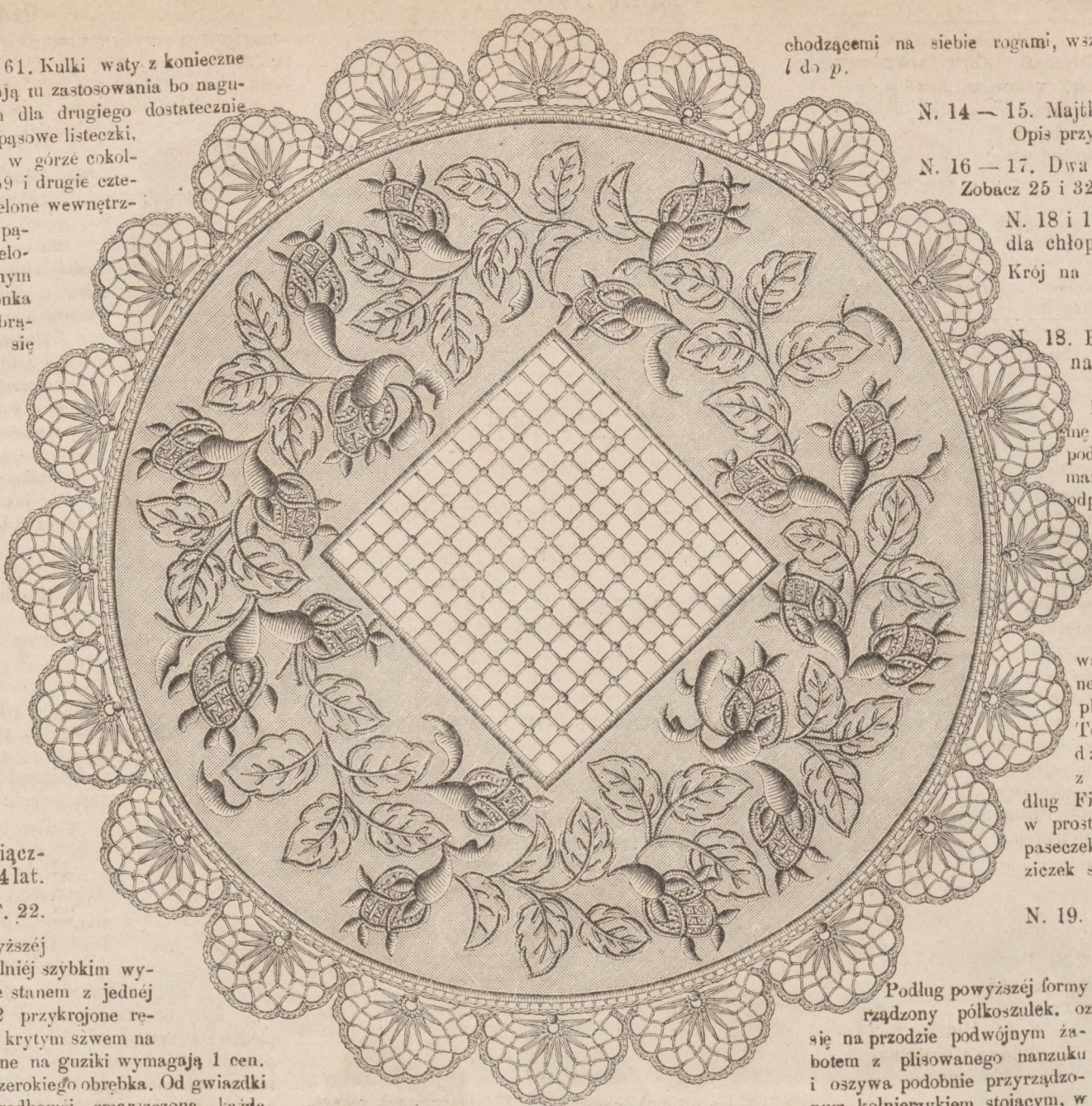


N. 6. Stanik z karoczką do kostiumu N. 15 w T. M. N. 22.

cent. szeroko, uważając ażeby prawa strona rozporka zakładała się na wierzeh. Karczek oszywa się haftowaną szlarką, wystającą z pomiędzy dwóch brzegów karczka. Koszulka, czyli oba stany od podwójnej kropki zmarszczone, przytwierdzają się karczkiem, stosownie do liter przystębnowanym. Prosty rękaw szlarczka oszty z z a-



N. 10. Wstawka z siatkowej gipiury.



N. 4. Okrągła serwetka. Robota siatkowa i haft biały.



N. 9. Kamelja włóczkowa. Krój w dodatku fig. 55 — 65 w Tyg. Mąd N. 19.



N. 8. Część haftowana do poduszeczki ryc. 7.

chodzącymi na siebie rogami, wszywa się w pachę od 1 do p.

N. 14 — 15. Majtki dla chłopczyka. Opis przy N. 38.

N. 16 — 17. Dwa ubrane rękawki. Zobacz 25 i 32 w N. 22 Ty. Mąd.

N. 18 i 19. Dwa półkoszulki dla chłopczyka od 6 — 8 lat. Krój na dodatku N. XII Fig 34 — 35.

N. 18. Półkoszulek z marynarskim kołnierzem.

Figura 34 podaje formę płóciennego kartonem podszytego półkoszulka z marynarskim kołnierzem, odpowiedniego pod pokłuznie wykrojone kamizelki. Wierzeli i podszewka łączą się stembnowaniem i ubierają z wierzchu przystębnowanym perkałem w czarnej i białe pasy albo białą plisną na 1 cent. szeroko. Ten sam garnirunek, widzimy na kołnierzyku z podwójnego płótna podług Fig. 35 przyrządzonym, w prosty 1 i pół cent. szeroki paseczek wszytym. Perłowy guziczek spina szmizetkę.

N. 19. Szmizetka ze stojącym kołnierzykiem.

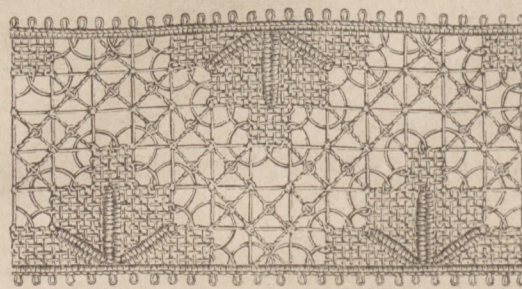
Podług powyższej formy przyrządzony półkoszulek, ozdabia się na przodzie podwójnym zabotem z plisowanego nanzuku i oszywa podobnie przyrządzonym kołnierzykiem stojącym, w prosty pasek wszytym.

N. 20—21. Dwa letnie kostiumy.

N. 20. Kostium z pliskami.

Kostium ten z jasno czekoladowego wyrobu welnianego przybrany jest pliskami bez wypustki. Spódnice nie sięgającą ziemi, ozdobia plisowanie z prostej sztuki 32 cent. wysokie; 2 centy. głębokie faldy w odstępach 4 cent. dawane u góry powinny być gęstsze. Pliska 5 cent. szeroka przytwierdza plisowanie z wystającym 4 c. wysokim plisowanym nagłówkiem. Pliska ta wszędzie równie szeroka, stanowi ubranie zgrabnej tuniki i krótkiego kaftanika. Proste bryty z przodu i z tyłu otwartej tuniki 63 cent. długie mają po 60 cent. szerokości; przednie także proste i 60 cent. długie ścinają się na 27 cent. obwodu górnego i zszywają gładko z tylnym lekkim zaokrąglone u dołu. Trzy guziki, podnoszą tunikę na 47 cent. z obu boków; sześć po do b n ych guzików, ozdabia krótki, na haftki spinany kaftanik.

N. 7. Pliska poduszeczka do spilek. Haft wschodni.



N. 11. Wstawka z siatkowej gipiury.

N. 21. Kostium z karbowanymi ruszami. Kostium po-

wyższy z lekkiego wyrobu „Eeru“ składa się ze „spódniczki i paltota weinanego, przepasanego paskiem z dużą kokardą i karbowaną falbanką. Karbowane 8 cent. szerokie falbanki przytwierdza ciemniejsza pliska w kolorze sukni. Do sukien jasnych, z materiałów mających połysk jedwabiu falbanki dają się z karbowanego muslinu, co stanowi wielką nowość tegoroczną.

N. 22 — 24. Dziecinny czepeczek i napiersnik.

Krój czepeczka zobacz N. 32.
Krój napiersnika na dodatku N. XIII fig. 36.

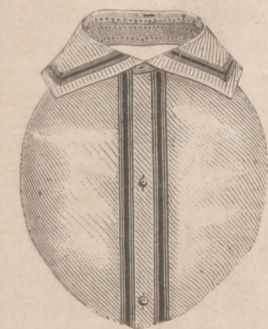
Opis do ryciny 20 i 21 w Numerze 22 Tyg. Młod.

Przedstawiony pod ryc. 24 piękny szydełkowy garnitur kolorową materją podłożony, jako podarek do chrztu, zastąpić może kosztowne koronki. Wszystko odrabia się pojedynczo z nici N. 100, osobno gęste listeczki, kwiaty i gałązki potrzebne na czepeczek i wszukowane w gipiurówce tło jak to w naturalnych rozmiarach podane ryc. 22—23 wskazują. Układać je można na podanych formach, stosownie do gustu, w najrozmaitsze wzory. Środkowy kwiatek odrobiony „en relief“ jak to widzimy na rozecie N. 22 stanowiącej jeden bok czepeczka.

Formę napiersnika odpowiedniego czepeczkowi, podaje Fig. 36. Kokardy ze wstążek w kolorze podłożenia, przytwierdzają go na ramionach staniczka.

N. 25—26. Dwie muślinowe bluzki, dla dziewczynki do 3 lat.

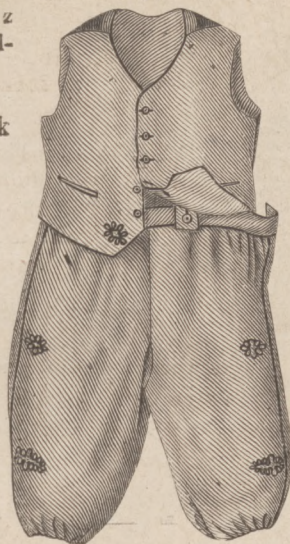
Krój na dodatku N. IV. Fig. 14—16.



N. 18. Półkoszulek z kołnierzem marynarskim dla chłopczyka od 6 do 8 lat. Krój w dodatku N. XII. Fig. 34—35.

kwadrata, odznaczony jest cienkimi linijkami na formie, stanowi go haftowana na 1 1/2 c. szeroką wstawką marszczoną koronką oszytą; muslin należy wyciąć, pod wszywką. Dolny brzeg bluzki podszywa się 2 cent. szeroką listewką; można jej dodać także 6 cent. długi fałdowany karoczek, przez co bluzka lepiej leży. Wykroj szyć objęty, otacza marszczoną koronką. Rękaw z 2 i

N. 20. Kostium z plisami.



N. 14. Kamizelka z przypiętymi majtkami. (Przód). Do ryciny 38.



N. 12. Koszula dla dziewczynki do 4 lat. Krój w dodatku N. VII Fig. 22.



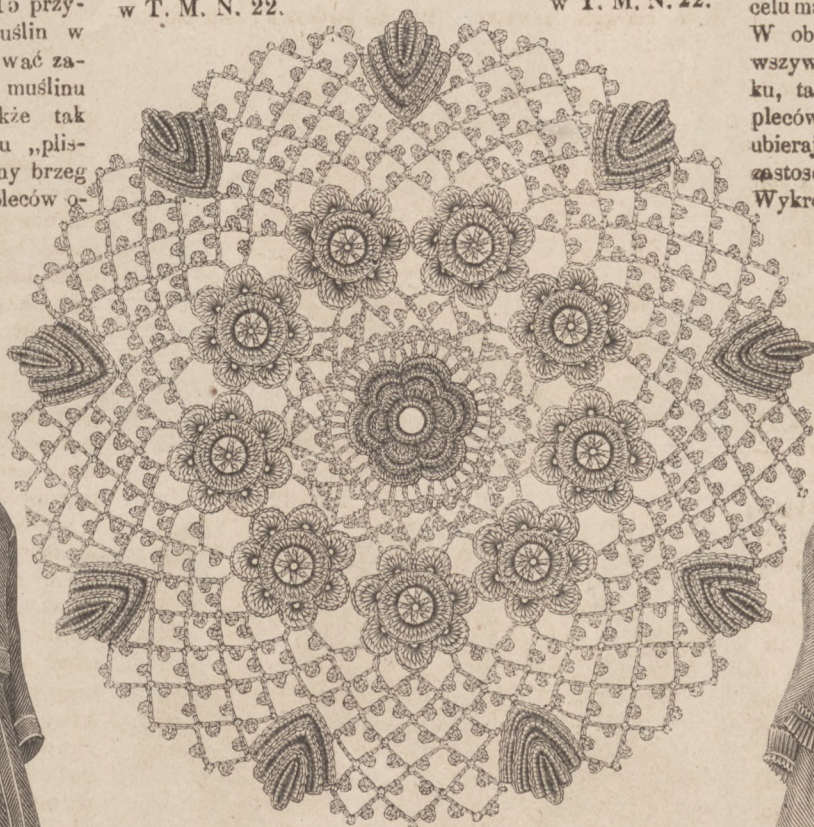
N. 13. Koszula z karczkiem dla dziewczynki do 6 lat. Krój w dodatku N. VI Fig. 19—21.



N. 16. Garnirunek rękawa do kołnierzyka ryc. 25 w T. M. N. 22.



N. 17. Garnirunek rękawa do kołnierzyka ryc. 25 w T. M. N. 22.



N. 22. Rozeta do czepeczka ryc. 24.



N. 23. Szydełkowa robota do czepeczka ryc. 24.

pół cent. długim rozporkiem podług Fig. 16 przykrojony marszczy się przy szwie pachy, przy ręce licząc od gwiazdki, zaszywa się rękaw tyle w stopniowane zakładki 1—3 cent. długie, póki obwód jego nie dojdzie 13 cent. Haftowana wstawka batystowa, z marszczoną koronką, zapięta na guzik, zdobi dół rękawa.



N. 26. Bluzka muślinowa z podłużnym garnirunkiem.

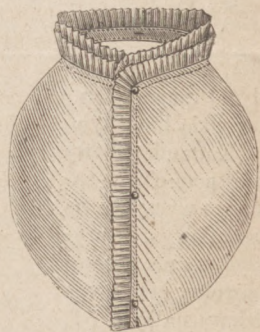
Bluzka ta różni się od poprzedniej ułożeniem garnirunku, który w ząb podłużny dany na przodzie, z tyłu okrągło otacza wykroj szyi. Stanowią go batystowe haftowane i tiulowe wstawki z wąską koroneczką. Dodać jeszcze winniśmy, że przed przystępowaniem garnirunku, wszywkę tiulową trzeba z batystową okrętką zeszyć i zmarszczoną koronką otoczyć; muslin należy z pod naszytą wyciąć.

N. 27 — 28. Muślinowa sukienka dla dziewczynki do lat 5.

Krój na dodatku N. V fig. 17 — 18.

Sukienka przedstawiona, z otwartą na przodzie tuniką, 164 cent. dolnego obwodu, a 31 cent. długości mająca opatrzona jest u dołu 3 cent. szerokim obrębem, wąską koronką oszytym, po nad którym idą trzy stębnowane zakładki. Tunikę 112 cent. szeroką, a 23 c. długą, ozdabia 2 1/2 cent. szeroki pas w zakładki koronką oszyty i 1 i pół cent. szeroka, haftowana wstawka. Staniczek kwadratowo wycięty podług Fig. 17—18 z gładkimi na guzik spinanymi plecami, zakończona w górę haftowaną wstawką. Zobacz desen na

Fig. 17. Boczne brzegi pleców do zapinania i dół podszywa się 1 cent. szerokim stębnowanym obrębem osobnym lub z przypuszczonego w tym celu materiału odrobionym. W obrębie tym u dołu, wszywa się od szwów boku, tasiemka do ściągania pleców. Rękawki proste ubierają się garnirunkiem zastosowanym do tuniki. Wykroj szyi oszywa się nadmarszczoną koroneczką. Kokarda z kolorowej wstążki przytwierdzona na pasku sięgającym szwów



N. 19. Półkoszulek ze stojącym kołnierzem dla chłopczyka. Krój w dodatku N. XII F. 34 i 35.

boku, pokrywa ściąganie pleców, jak to widzimy na N. 28 różniącym się garnirunkiem od poprzednio opisaną sukienki. Spódnice jej naszywa się trzema falbankami z których dwie dolne 2 3/4 cent. szerokie spadają z pod trzeciej z nagłówkiem 3 i pół cent. wynoszącą. Wstawka haftowana 2 1/2 cent. szeroka, gipiurowa 1 i pół szeroka



N. 21. Kostium z karbowanymi falbankami.

i 1 cent. szeroka koronka, stanowią cały garnitur tuniki. Przód staniczka z krótkimi rękawkami w bufki składają się z haftowanych i gipsurowych wstawek.

N. 29—34. Kaftanik i czepeczek dla małego dziecka.

Haft na piec. Krój z deseniem na dodatku N. VIII fig. 23—27.

Forma fig. 23 podaje czwartą część kaftanika, z jednej sztuki w całości albo dla oszczędzenia materiału z bocznymi szwami przykrajanego. Stosownie do przeznaczenia na nocny lub dzienny kaftanik, przyrządza się do zapinania na przodzie lub z tyłu.



N. 27. Sukienka muslinowa z tuniką dla dziewczynki do 5 lat. Przód. Krój N. V. Fig. 17—18.

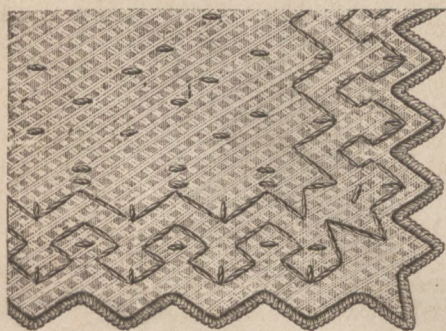
Haft na piec. Krój z deseniem na dodatku N. VIII fig. 23—27.

Kaftanik pikowy nie potrzebuje żadnego wyszycia, na perkalowym wyszyć można pasową bawełną jak to widzimy na ryc. 31, podającą narożnik kaftana dzierganego w zęby. Na środkową część czepeczka (Fig. 26) ryc. 33 podaje osobny desenie; rycin. 34 przedstawia w kółko dane wyłożenie z marszczoną batystową falbaneczką pasowo dzierganą.

N. 35—36. Flanelowe majteczki, dla małych dzieci.

Krój na dodatku N. X. Fig. 31.

Rycina 36 daje dokładne wyobrażenie spinania na guziki rozłożonej nogawki nad-



N. 31. Haftowany narożnik do kaftanika. Ryc. 29 i 30.



N. 25. Bluzka muslinowa podłużnie garniowana dla dziewczynki do 3 lat. Krój w dodatku N. IV fig. 14—16.



N. 24. Czepeczek i napierśnik dla dziecka z gipsu Irlandzkiej. Krój N. XIII Fig. 36.



N. 29. Kaftanik dla dziecka. Krój N. VIII Fig. 23 i 37.



N. 30. Kaftanik dla dziecka. Krój N. VIII Fig. 23—27.

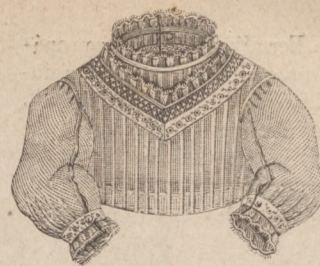
N. 35. Majtki flanelowe zapięte. Krój N. X. Fig. 31.



N. 36. Majtki flanelowe rozpięte. Krój N. X. Fig. 31.



N. 37. Letni trzewiczek dla dziecka. Krój N. XI. Fig. 32—33.



N. 26. Bluzka muslinowa dla dziewczynki do 3 lat. Krój N. IV Fig. 14—16.

N. 37. Letni trzewiczek dla dziecka.

Krój na dodatku N. XI. Fig. 32—33.

Cienka pika w rzucik barchanem podbita, stanowi materiał podeszwy i cholewki trzewiczka. Każda pojedyncza cząstka, lamuje się najpierw perkałem, potem z le-

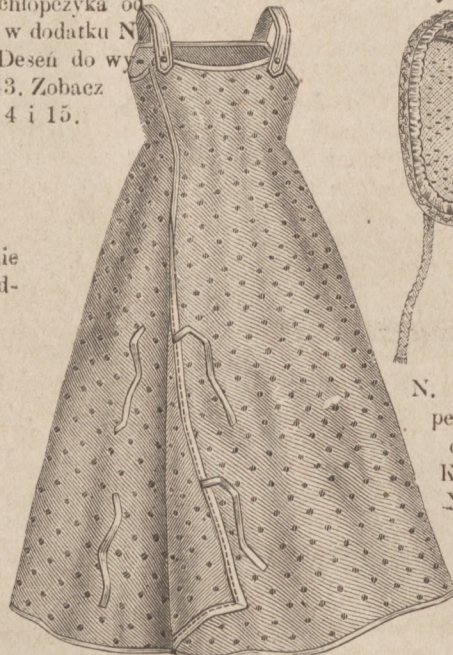


N. 28. Sukienka muslinowa z tuniką dla dziewczynki do 5 lat. Plecy. Krój N. V Fig. 17—18.

węj strony zeszywa najstaranniej z drugą. Wykroć ozdabia się szlarczką w ząbki haftowaną, daną także na rozetce na przodzie i paską do zapinania, 14 cent. długim w górze trzewiczka, zamocowanym z 2 cent. szeroką haftowaną wstawką.

Dokończenie objaśnień drzeworytów nastąpi w następnym dodatku N. 23.

N. 38. Ubranie chłopczyka od 6 do 8 lat. Krój w dodatku N. II. Fig. 5—9. Deseń do wyszycia Fig. 42 i 43. Zobacz także ryc. 14 i 15.



N. 32. Czepeczek dla dziecka. Krój N. XIII, F. 23—27.

N. 39. Fartuszek dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój N. III fig. 10—12.



N. 33. Deseń do czepeczka ryc. 32



N. 34. Deseń do czepeczka ryc. 32.

N. 40. Welniana spódniczka. Przód. Krój N. IX fig. 28—30.

N. 41. Welniana spódniczka. Plecy. Krój N. IX fig. 28—30.